

GO exclusive

\\WIOSNA 2018

GAZETA OLSZTYŃSKA \\ DODATEK BEZPŁATNY

\\ Joanna Brodzik:
LUBIĘ TYCH CHULIGANÓW
ZNAD ROZLEWISKA

\\ Wanda Kwietniewska:
JEDEN JEDYNY RAZ
ZDRADZIŁAM MAZURY
Z JAPONIĄ

\\ Sławomir:
MÓJ SCENICZNY IMAGE
NIE MIEŚCI SIĘ W ŻADNYCH
RAMACH

\\ Tomasz Ciachorowski:
TO WŁAŚNIE
W OLSZTYNIE
NABRAŁEM
WIATRU W ŻAGLE

BARTŁOMIEJ WASILEWSKI:
HOTELARSTWO JEST
CZĘŚCIĄ MOJEGO ŻYCIA \\14-15



Szanowni Państwo!

Przed nami jeden z najbardziej energetycznych sezonów roku – wiosna. To czas ładowania naszych wewnętrznych baterii. Pora, w której czujemy, że możemy więcej, lepiej i piękniej w każdej dziedzinie naszego życia. To dlatego nasz najnowszy, czwarty już numer GO Exclusive jest dynamiczny, pełen kolorów, a przede wszystkim inspirujący!

W tym wydaniu prezentujemy sylwetki ludzi ze wszelkich miar nieprzeciętnych. Monika Jaskólska, matka trójki dzieci, przekonuje, że wszystko jest możliwe, jeśli się bardzo chce. Ta niezwykła kobieta jest inicjatorką międzynarodowej akcji „Bielsko-Biała dla Toma Hanksa”, której finałem było kupienie jednemu z najpopularniejszych aktorów na świecie ponad 30-letniego Fiata 126p. A wszystko po to, by wesprzeć akcję charytatywną Szpitala Pediatrycznego w Bielsku-Białej. Konsekwentnie realizuje swoje marzenia Anika Kamińska, z wykształcenia archeolog, z pasji – podróżniczka i tancerka, która pojechała do Afryki by szlifować... tradycyjny taniec Afryki Zachodniej. Tomasz Maciejewski, twórca stylu życia „Tam Gdzie Chcę”, wykorzystuje nowe technologie i łączy pracę z podróżowaniem po świecie. Ania Wyszconi, dowodzi, że warto żyć każdą chwilą i jak niezwykle ważne jest to, by kochać to, co się robi.

Ale to nie wszystko! W Go Exclusive znajdziecie Państwo wiele interesujących tekstów o ludziach którzy zmienili swoje życie, wyznaczyli nowe cele i z determinacją dokonują czegoś, co – wydawać by się mogło – jest niemożliwe.

Życzę Państwu odwagi w spełnianiu marzeń – nie tylko na wiosnę i nie tylko z okazji Świąt Wielkanocnych. Życzę determinacji w dążeniu do realizacji celów. Otwarcia na przekonanie, że wszystko, czego pragniemy, jest w zasięgu naszych możliwości. Czasem wystarczy niewielka zmiana w życiu, która uruchomi prawdziwą reakcję łańcuchową. Niech naszym wspólnym reaktorem będzie nadchodzący wiosenny czas!

Jarosław Tokarczyk,
prezes Grupy WM, wydawcy „Gazety Olsztyńskiej”



Spis treści

- 3. Fenomen natury w łódzce
- 4. Stawomir nie mieści się w ramach
- 8. Nasza przyszłość startuje 7 czerwca
- 9. Spotkanie w połowie drogi
- 10. Przyszłość jest kobietą
- 12. To tu, w Olsztynie, nabrałem wiatru w żagle i pewności
- 16. Archeolożka gra na bębnach i tańczy w afrykańskim rytmie
- 18. Moja dusza płonie, kiedy gram albo kiedy robię coś ważnego
- 20. Dzięki serialowej Małgosi stałam się trochę odważniejsza
- 22. Zagiąłem Piotra Kraśkę swoim pytaniem
- 24. Bo w życiu najważniejsze jest, żeby być w zgodzie ze sobą
- 26. Jak zostać gwiazdą musicalu? Trzeba naśladować Mozarta
- 28. Trzeba mieć moc pocisku, żeby dać radę w tańcu karaibskim
- 30. Jestem tam, gdzie chcę, pracuję i mam zawsze dobrą pogodę
- 32. Jeden jedyny raz zdradziłam moje Mazury z Japonią
- 36. Każdego dnia otrzymuję wynagrodzenie w postaci całusów
- 38. Przez 14 lat brat narkotyki. Potem został mistrzem świata
- 40. Terroryści przez lata w Polsce żyli, leczyli się i ginęli
- 42. Życie jak pudełko czekoladek. Tom Hanks trafił na fiata
- 44. Stokrotki w sosie własnym, czyli bukiety z łąk na talerzu

Wydawca
GRUPA WM Sp. z o.o., 10-364 Olsztyn, ul. Tracka 5

Prezes Jarosław Tokarczyk
Dyrektor Działu Handlowego:
Anna Jabłonowska
Współpraca reklamowa Anna Wysocka tel. 514 800 506

Redaktor wydania: Barbara Barczuk
Projekt graficzny: Dobrochna Bugiera
Łamanie: Mariusz Feliński



FENOMEN NATURY W LODÓWCE

/// CZY W JEDZENIU WIELKANOCNYCH JAJ TRZEBA ZNAĆ UMIAR? NIEKONIECZNIE. JAJKA SĄ ZDROWE, A WSZYSCY, KTÓRZY ZALECAJĄ „POWŚCIĄGLIWOŚĆ”, SĄ W BŁĘDZIE. POLSKI SPECJALISTA OD JAJ... ZJADA ICH NAWET 30 TYGODNIOWO! Z TADEUSZEM TRZISZKĄ, JAJOLOGIEM, ROZMAWIA ADA ROMANOWSKA Fot. archiwum prywatne

— Na początek żart: co by kura powiedziała, gdyby zobaczyła suto zastawiony wielkanocny stół?

— Jeśli widziałaby jaja w różnych postaciach na stole pewnie byłaby zadowolona, że doceniamy jej wysiłek. Bo znoszenie jaj nie jest wcale łatwe.

— Ile jaj możemy zjeść w święta, żeby wyszły nam na zdrowie?

— Każda ilość zjedzonych jaj wychodzi na zdrowie. Rozsądnie zalecam trzy, a nawet pięć jaj dziennie. Na święta można więcej.

— A ile pan zjada jaj w Wielkanoc, a ile tygodniowo?

— Ja osobiście zjadam tygodniowo 24 do 30 jaj. Podobnie będzie na Wielkanoc.

— To ile ich ma pan zawsze w lodówce?

— W lodówce lub w innym chłodnym miejscu mamy w domu około 90 jaj.

— Żółtko to fenomen natury. Dlaczego?

— Bo zawiera doskonałe i najważniejsze składniki biologicznie aktywne, w tym witaminy z grupy B oraz witaminę A i E oraz karotenoidy, kwasy omega-3, fosfolipidy. Trudno dalej wymieniać. Żółtko jest najdoskonalszym rezerwuarem odżywczym.

— A białko?

— Białko jaja zawiera pełen skład aminokwasowy i jest najdoskonalszym zestawem wzorcowym protein. Ponadto białko jaj jest bogate w witaminy rozpuszczalne w wodzie i związki mineralne.

— A czego nie ma w jajach?

— Jedynie witaminy C. Okazuje się, że nie jest potrzebna do stworzenia życia.

— A co z cholesterolem? Lekarze nim straszą. Czy rzeczywiście jajko może nam zaszkodzić?

— Strasznie cholesterolem to przeżytek. Jeśli ktokolwiek straszy cholesterolem zawartym w jajach wykazuje brak wiedzy, bowiem w jajach jest zaledwie 0,3 proc. cholesterolu związanego z HDL, czyli jest to dobry cholesterol niczemu nie szkodzący.

— Jajka na pierwszy rzut oka za bardzo się nie różnią. Może rozmiarem, czasem kolorem. A co ze środkiem? Można mówić o różnicach?

— Generalnie budowa i skład chemiczny jaja są warunkowane gene-

tycznie. Niemniej jednak możemy w określony sposób wpływać na skład żółtka, na przykład wzbogacając go szczególnie w n-3 kwasy tłuszczowe lub witaminy.

— A czy jajka z chowu klatkowego są gorsze od tych z chowu ściółkowego z od kury grzebiącej?

— Od strony genetycznej nie ma różnicy. Ponadto jaja z chowu klatkowego będą charakteryzować się wyższą wartością higieniczną, a tym samym bezpieczeństwem.

— Co przysparza kurze stresu?

— Do chowu klatkowego, podobnie jak do chowu wybiegowego, dobiera się kury odpowiednich linii genetycznych, co generalnie nie wywołuje stresu u tych kur. Oczywiście jeśli są odpowiednio utrzymywane.

— Stres ma wpływ na smak?

— Nie są mi znane badania w tym zakresie.

Prawdopodobnie nie ma wpływu.

— Co było pierwsze: kura czy jajko?

— To jest pytanie filozoficzne i jak dotąd nie rozwiązane, aczkolwiek profesor Zbigniew Dobrzański twierdzi, że pierwszy był kogut.



Jajka podnoszą cholesterol i nie mają wartości odżywczych

Ten mit na szczęście został obalony przez dietetyków i naukowców.

/// Tadeusz Trziszka: polski zootechnik, technolog żywności i żywienia, nauczyciel akademicki, profesor nauk rolniczych, rektor Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu w kadencji 2016–2020. Specjalizuje się w zagadnieniach z zakresu technologii drobiu i jaj, w tym projektowania i technologii procesowych w przemyśle jajczarskim. Zajmuje się badaniem bioaktywnych substancji pozyskiwanych z jaj do celów biomedycznych.



SŁAWOMIR NIE MIEŚCI SIĘ W RAMACH

\\ JEGO PIERWSZA LICEALNA MIŁOŚĆ POCHODZIŁA Z MAZUR. CIĄGNIE GO WIĘC DO NASZEGO REGIONU. UWAŻA, ŻE TO PIĘKNA I MAGICZNA CZĘŚĆ POLSKI, ALE O MIŁOŚCI WOLI ŚPIEWAĆ W ZAKOPANEM. ZE SŁAWOMIREM, PIOSENKARZEM ROCK POLO, AKTOREM, ROZMAWIA ADA ROMANOWSKA Fot. archiwum prywatne

— Sławomir to American dream. Co to znaczy dla Polaka?

— Cześć, tu Sławomir. American dream to spełnienie marzeń w spektakularny sposób. Kiedy szlifowałem swój talent na Long Island podczas warsztatów w Watermill Centre, poznałem bardzo wielu utalentowanych ludzi z całego świata. To bardzo poszerzyło moje horyzonty. Uwierzyłem i poczułem, że artyści z Polski mogą śmiało konkurować z całą resztą świata. Przy dużej pracowitości wygrywamy. Kiedy wróciłem do ojczyzny i razem z żoną wypuściliśmy nasz pierwszy klip do utworu „Megiera” i w trzy miesiące od tego momentu wystąpiliśmy w Operze Leśnej, to poczułem, że American dream możliwy jest też w ojczyźnie.

— Podobno przebijasz zarobki Zenka Martyniuka, który ma na swoim koncie kilkadziesiąt piosenek. Ty zaledwie kilka...

— Stawki, które wliczają media, są zdecydowanie zaniżone. Zenek to artysta, który działa na rynku od wielu lat i jego pozycja jest niepodważalna. Prywatnie bardzo się lubimy i szanujemy. Nie powinno się jednak nas porównywać finansowo, ponieważ Akcent to dwie osoby na scenie, a moja ekipa koncertowa, zespół na żywo, to ponad piętnaście osób. Koszty dzielą się inaczej.

— Jaki w ogóle masz stosunek do disco polo?

— Bardzo często spotykamy się na estradzie z gwiazdami disco polo. My gramy na żywo z całym zespołem, a u wykonawców disco polo tego się nie praktykuje. To nas różni. Cieszę się z każdej muzyki, która daje ludziom radość i jest odskocznią od szarej rzeczywistości.

— Ile jest rocka, ile disco polo, a ile Sławomira w piosenkach Sławomira?

— Mój gatunek to rock polo, czyli połączenie muzyki tanecznej ze szlachetnym brzmieniem instrumentów rockowych. Po ocenę proporcji zapraszam cię na koncert.

— Zaczynałeś jako aktor. Dlaczego dałeś się porwać muzyce?

— Cały czas pracuję jako aktor i dostaję coraz ciekawsze propozycje. Z radością gram główną rolę w Teatrze Capitol w komedii „Skok w bok”. Kino i telewizja też mnie dopieszczają. To idzie dwutorowo i pozwala mi w pełni się rozwijać.

— Twój image sceniczny jednych zachwycą, innych szokuje. Czy Sławomira można ująć w jakieś ramy, wyznaczyć mu granice?

— Sławomir nie mieści się w żadnych ramach. I dziennikarze często mają z tym problem. Jak to sklasyfikować? Sławomir to legenda! (śmiech)

— Jaki jest Sławomir poza wirtualną rzeczywistością?

— Mam obowiązki rodzinne i staram się je wypełniać. Lubię ciszę i razem z żoną kochamy takie momenty. W ciszy odpoczywamy.

— Masz jakieś wady?

— Pewnie, że tak. Najlepiej zapytać o to moją Kajrę. Dystans do siebie to świetny początek walki z wadami.

— Była „Miłość w Zakopanem”. Może z okazji niedawnych walentynek czas na miłość na Mazurach? Jak myślisz, jak kochają ci znad jezior?

— Wiesz, moja pierwsza licealna miłość pochodziła z Mazur. Ciągnie mnie więc w ten region ojczyzny od małego. To piękna i magiczna część Polski i myślę, że to piękno ma wpływ na ludzi, którzy tam żyją. Kochają szeroko i malowniczo.

— A co ty kochasz najbardziej?

— Powinnaś zapytać kogo? Tego, który mnie stworzył i rozpiera, moją żonę i mojego synka. A na pytanie co — odpowiem muzykę i golfa 3.

— A gdzie kochałeś najbardziej?

— Najbardziej kocha się w rodzinie. Bo to wielki poligon miłości. Wcale nie tej miłości różowej i polukrowanej, ale takiej prawdziwej i żywej.

— Co jeszcze siedzi w głowie Sławomira?

— Bardzo dużo nowych pomysłów i planów. Fani stopniowo je poznają.

— A co w sercu?

— „A w sercu ciągle maj”!

— A co w kieszeni?

— „Mam ręce w kieszeniach, a kieszenie jak ocean”.

— Grasz dużo koncertów, a Olsztyn i okolice omijasz szerokim łukiem. Dlaczego?

— Nie omijam żadnego uroczego miejsca. A w Olsztynie już graliśmy i okolicach również. W tym roku czeka nas wspólna trasa koncertowa po Europie i USA. Mam nadzieję, że pojawi się ponowne zaproszenie koncertowe z Olsztyna i ucieszymy się wspólnie z rock polo. Do zobaczenia! Cześć, tu Sławomir!





\\ **Sławomir Zapata** piosenkarz, showman i aktor. Działalność muzyczną rozpoczął w Nowym Jorku na Long Island. W 2015 roku został wokalistą muzyki rock polo i wykreował swój pseudonim sceniczny, „Sławomir”. 5 marca 2015 roku na kanale YouTube udostępnił debiutancki singel „Megiera”. W teledysku do piosenki wystąpili aktorzy, tacy jak m.in.: Ewa Kasprzyk, Krzysztof Kiersznowski i Lech Dyblik. Klip osiągnął w serwisie ponad 30 milionów wyświetleń. Brał udział w „Tańcu z gwiazdami”, zajął siódme miejsce. Był też faworytem w programie „Twoja twarz brzmi znajomo”. Wygrał dwa odcinki, a ostatecznie zajął trzecie miejsce. 10 kwietnia 2017 roku ukazała się jego debiutancka płyta studyjna zatytułowana „The Greatest Hits”. Ostatnim hitem jest „Miłość w Zakopanem”. Jako aktor wystąpił w wielu filmach i serialach, m.in.: „Karol. Człowiek, który został papieżem”, „33 sceny z życia”, „Pod Mocnym Aniołem”, „Czas honoru”, „Prawo Agaty”. Jego żoną jest Magdalena Kajrowicz, która towarzyszy mu na scenie. Ma syna Kordiana.

Sławomir: — Cieszę się z każdej muzyki, która daje ludziom radość

Z auto detailingiem jest jak z... **makijażem**

Wykonywanie makijażu to wyjątkowo precyzyjna czynność, w której dokładność i kolejność nakładania kosmetyków decyduje o efekcie końcowym. Liczy się każdy krok. Podobnie jest z auto detailingiem. Rozmawiamy o tym z **Łukaszem Ruszkowskim** z Bling Factory.

- **Czyszczenie samochodu to jest chyba zbyt brutalne określenie tego, co robicie? Bardziej odpowiednie jest tu słowo dopieszczanie i to nie tylko lakieru samochodowego, bo w środku auta również dużo się dzieje.**

- Staramy się poprawiać niedoskonałości samochodu, jeżeli chodzi o jego wygląd. To jest podobne do umiejętnie wykonanego makijażu, którego zadaniem jest podkreślenie kobiecej piękności.

- **Wiosna to niewątpliwie dobry czas, kiedy powinniśmy wziąć się za swoje auto. Po długiej zimie lakier dostał w kość i nie wygląda jak wcześniej. Od czego zaczynacie przywracanie jego świetności?**

- Od myjni. Najpierw spłukujemy brud, a następnie nakładamy warstwę specjalnego środka czyszczącego. Tu chciałbym podkreślić, że używamy kosmetyków z najwyższej półki. Nie ma mowy o żrących preparatach, które mogłyby uszkodzić lakier. Może być mycie klasyczne, premium, pod polerowanie lub pod powłokę... Nie chcę opowiadać, jak to wygląda w szczegółach, ale każdy rodzaj mycia zależy od tego, co takiego dalej będziemy robili z samochodem.

- **Czyli najpierw zmywamy stary makijaż...**

- Dokładnie (śmiech). Po wspomnianym myciu następuje osuszanie samochodu do ostatniej kropli wody. Auto możemy pokryć np. różnego rodzaju woskami, wszystko zależy od zasobności portfela klienta. To chyba najtańsza i zarazem najpowszechniejsza forma zabezpieczenia samochodu. Powiem jako ciekawostkę, że kiedyś używano się do tego... smalcu i tak powstał auto detailing. Dziś używa się wosku. To jedno z najtańszych i trzeba przyznać, że dobrych zabezpieczeń.

- **A co z polerką?**

- Używamy do niej mikrofibry i specjalnych gąbek. Zanim przystąpimy do samej czynności, mierzymy grubość lakieru i sprawdzamy zarysowania, to, jak są głębokie. W naszej terminologii mówimy o tzw. wycinaniu, zagładzaniu i wykańczeniu. To tak w telegraficznym skrócie. Po polerowaniu możemy nałożyć wspomniany wosk, ceramikę lub przyklejamy folię ochronną.

- **Kiedy patrzę na stojący tuż obok mnie kabriolet BMW serii 6 w kolorze matowej perły, nie mogę wyjść z podziwu. Chyba widzę coś takiego po raz pierwszy w życiu i czuję się trochę jak u...jubitera.**

- Markowi producenci pozwalają sobie na ekstrawagancję, aby auto wyróżniało się z tłumu.



Końcowy wygląd zależy również od tego, co ma na sobie, znaczy, jak zostało pomalowane. Wspomniany model został zabezpieczony powłoką ceramiczną, która sprawia, że nie straszą go warunki atmosferyczne, pył, piasek, owady czy nawet ptasie odchody. Co więcej, samochód podczas zwykłego deszczu "sam się myje". Ceramika, tak jak makijaż, zapełnia pory, aby brud spływał po masce nie niszcząc lakieru.

- **Ceramiczna powłoka dopełnia to, czego fabryka nie dała. Jeżeli chodzi o wygląd i zabezpieczenie auta, jest swego rodzaju wisienką na torcie.**

- Myślę, że można tak powiedzieć. Na powłokę Ceramic Pro 9 H, producent daje gwarancję aż na pięć lat. Namawiamy jednak klientów na coroczne konserwacje, aby auto cały czas swoim wyglądem cieszyło oczy. Powłoka premium konserwuje auto, ale i sprawia, że jest ono łatwiejsze w późniejszej kosmetyce. Niewiele wysiłku potrzeba, aby po codziennym zabrudzeniu szybko odzyskało swój blask. Wystarczy, że pojedzie na bezdotykową myjnię i spędzi tam kilka minut. Samochód pokryty ceramiką wyróżnia się z tłumu...

- **Zajęliśmy się pięknem zewnętrznym, ale porozmawiajmy również o wnętrzu samochodu.**

- Jesteśmy w stanie odświeżyć je i doprowadzić do stanu świetności, jakie miało przed laty. Przykładem może być stojące obok nas BMW M3 z pierwszej połowy lat dziewięćdziesiątych, gdzie siedzenia zostały obite ałcantarą, do czyszczenia której użyliśmy specjalnych środków. Zajmujemy się renowacją skór, a nawet potrafimy przywrócić im pierwotny kolor.

- **Można pokusić się o stwierdzenie, że auta,**



które od was wyjeżdżają, zyskują na wartości i nie są to małe pieniądze.

- My mówimy, że samochody odzyskują swoją duszę i zaczynają żyć na nowo.

- **Na zakończenie co nieco o serduchu auta. Silniki też czyszczone i to nawet suchym lodem...**

- Technologia ta przede wszystkim jest łaskawa dla elektroniki, której pod maską jest naprawdę dużo. Suchy lód to delikatna i zarazem skuteczna metoda. Czyszczy brudny nalot nie uszkadzając elementów silnika.

- **Kiedy tak pana słucham, widzę wiele pasji, nie tylko do auto detailingu, ale i do samych samochodów.**

- Staramy się, aby wszystko robić na maksa. Nasz team złożony jest z osób, które pasjonują się motoryzacją, dlatego make-up w naszym wykonaniu sprawia, że auta wyróżniają się na ulicy i cieszą oczy przez długie lata. Dla nas bezcenna jest reakcja klientów, którzy odbierają samochody. Zresztą, czynność ta odbywa się w specjalnie przygotowanym studio, gdzie nie brakuje również kwiatów. Zdarza się, że dopytują, czy to naprawdę jest ich auto.

Wyjątkowe apartamenty

w samym sercu Olsztyna

TU ZBUDUJESZ SWOJĄ PRZYSZŁOŚĆ



+48 606 340 840 

+48 606 878 505 

biuro@apartamentyopera.olsztyn.pl 

ul. Kołobrzeska 6
10-443 Olsztyn


APARTAMENTY
OPERA

www.apartamentyopera.olsztyn.pl

NASZA PRZYSZŁOŚĆ STARTUJE 7 CZERWCA

SPOTYKAMY SIĘ 7-8 CZERWCA 2018 ROKU W CENTRUM KONFERENCYJNO-SZKOLENIOWE NASZEGO UNIWERSYTETU. TO NIEPOWTARZALNA OKAZJA ABY NAŁADOWAĆ SIĘ DOBRĄ ENERGIA I NOWYMI POMYSŁAMI. JEDNYM SŁOWEM ZAINWESTOWAĆ W SIEBIE, BY OSIĄGAĆ POTEM WYMARZONE CELE. Z JAROSŁAWEM TOKARCZYKIEM PREZESEM ZARZĄDU GRUPY WM ROZMAWIA IGOR HRYWNA Fot. archiwum



— Przyszłość to takie nieokreślone słowo. Niektórzy nawet twierdzą, że przyszłość, podobnie jak przeszłość, nie istnieje. Czym dla Pana jest przyszłość?

— Należę do ludzi, którzy uważają, że to człowiek, a nie okoliczności tworzą naszą rzeczywistość. Przyszłość zależy wyłącznie od nas, od tego co robimy dzisiaj. Po prostu naszą przyszłość tworzymy dzisiaj.

— Takie jest też główne przesłanie Kongresu Przyszłości, który po raz drugi organizuje w Olsztynie Grupa WM.

— Tak. Jak sobie pościelimy, tak się wyśpimy. W dzisiejszych czasach nie tylko trzeba błyskawicznie reagować na zmiany. Trzeba być ich częścią tych zmian, a najlepiej być ich inicjatorem. Tylko wtedy można być spokojnym o przyszłość.

— Nasz region ma wysokie bezrobocie, innowacyjnych firm też nie mamy za dużo. Przyszłość nie rysuje się zbyt różowo.

— No właśnie. To „nie rysuje się” zakłada w sobie jakąś bierność. Ja widzę dla nas, dla regionu wspaniałą przyszłość. Po warunkiem, że sami sobie na nią zapracujemy.

— Jak w tym kontekście widzi pan II Kongres Przyszłości, który odbędzie się w Olsztynie na początku czerwca?

— Można zacząć od rzeczy oczywistej. Jeżeli inwestorzy będą postrzegali nasz region wyłącznie przez pryzmat lasów i jezior, to długo nie wydestaniemy się z zapaści technologicznej, w jakiej dzisiaj jesteśmy. To nie znaczy, że mamy odłożyć do kąta turystykę. Nie o to chodzi. Chodzi o to, żeby pokazać region jako atrakcyjne miejsce dla inwestorów. I taką rolę pełni nasz Kongres. To jest nowoczesna twarz regionu jaką chcemy pokazać biznesmenom z kraju i z zagranicy.

— Czy my nie mamy kompleksów, że jesteśmy mniej wartościowi? Mam takie wrażenie, że się samoograniczamy. Jakby brakowało nam wiary, że można do nas przyciągnąć dużych inwestorów.

— Tak, często spotykam się z takim myśleniem. Powiedziałbym, że jesteśmy w swoim myśleniu o przyciąganiu do naszego regionu biznesu „analogowi”, a powinniśmy być „cyfrowi”. A przede wszystkim bardziej agresywni i pewni siebie. To nawet nie jest kwestia wiary w region, ale po prostu chłodna kalkulacja. Pamiętajmy o tym, że funduszy europejskich będzie coraz mniej. Jeżeli teraz nie wykorzystamy wszystkich szans, to zrobią to inni.

— Dla takich działań potrzebna wola, ale też wizja rozwoju.

— Oczywiście. Tutaj Kongres na pewno odgrywa i będzie odgrywał ważną rolę. Kiedy „wymyślaliśmy” Kongres, to widzieliśmy go jako miejsce, gdzie będą wykuwać się nowe i śmiałe idee.

— Na takie wydarzenie nasz region zasługiwał już dawno. Dlaczego Kongres Przyszłości mamy dopiero teraz?

— Chyba za dużo mamy w naszym regionie ludzi mątej wiary. Kiedy organizowaliśmy w zeszłym roku I Kongres, to najczęściej słyszeliśmy, że to się nie uda. I dokładnie tak jest, jeżeli ktoś wierzy, że coś się nie uda, to na pewno się nie uda. My jednak wierzyliśmy i wiedzieliśmy, że się uda. To pewna charakterystyczna cecha Grupy WM.

Kiedy pracujemy nad nowymi projektami skupiamy się na tym co jest nam potrzebne do osiągnięcia celu, a nie na tym, co nam przeszkadza. Jednym słowem szukamy szans, a nie zagrożeń. I czerpiąc z doświadczenia i przeszłości, zawsze patrzymy w przyszłość.

— Zatem przyszłość startuje 7 czerwca?

— Na pewno. Spotykamy się 7-8 czerwca 2018 roku w Centrum Konferencyjno-Szkoleniowe naszego Uniwersytetu. To niepowtarzalna okazja aby naładować się dobrą energią i nowymi pomysłami. Jednym słowem zainwestować w siebie, by osiągać potem wymarzone cele.



Kongres Przyszłości to niepowtarzalna okazja aby naładować się dobrą energią i nowymi pomysłami. Jednym słowem zainwestować w siebie, by osiągać potem wymarzone cele. Zatem spotykamy się 7 i 8 czerwca — mówi Jarosław Tokarczyk, prezes Grupy WM

SPOTKANIE W POŁOWIE DROGI

/// ROZWÓJ TO PROCES, KTÓRY
WYMAGA CIĄGŁEJ PRACY. ALE
ROZPOCZYNA SIĘ OD WIZJI
CELU, JAKI CHCEMY OSIĄGNĄĆ
W PRZYSZŁOŚCI — PODKREŚLA
MARSZAŁEK GUSTAW MAREK
BRZEZIN, WSPÓŁORGANIZATOR
II KONGRESU PRZYSZŁOŚCI.
WYDARZENIE ODBĘDZIE SIĘ
W OLSZTYNIE 7-8 CZERWCA.



— Cofnijmy się na chwilę do przeszłości. Mówił pan podczas otwarcia pierwszej edycji Kongresu Przyszłości, że „kto nie idzie do przodu, ten się cofa”. Gdzie teraz zmierzają Warmia i Mazury?

— Działania samorządu województwa skierowane są przede wszystkim na wzrost gospodarczy i innowacyjność, na współpracę z inwestorami, lokalnymi samorządami i sferą nauki. To kierunek poprawiający konkurencyjność regionu, co w dzisiejszych czasach oznacza coraz lepsze warunki życia. Żyjemy w niestandardowo pięknym miejscu, co przekłada się też na to, że jego rozwój wymaga od nas niestandardowego podejścia.

— Jak je wypracować?

— Na pewno potrzeba miejsca dialogu i przepływu wizjonerskich myśli. Długo szukaliśmy koncepcji, która zintegruje środowiska kreatywne, samorządy, nowe technologie, biznes i ludzi nauki. Spotkaliśmy się w połowie drogi naszych potrzeb i możliwości z Grupą WM i osiągnęliśmy niepowtarzalne efekty. Kongresem Przyszłości stworzyliśmy najnowocześniejszą z takich platform dialogu na Warmii i Mazurach. Wyraźny sukces pierwszej edycji i zainteresowanie nowatorskim ujęciem rozmowy o regionie przekonały nas do kontynuacji wydarzenia — to prawdziwie przyszłościowy ruch. W czerwcu czeka nas drugi duży krok w przód w sposobie myślenia o naszej małej ojczyźnie.

— Jak wiadomo, każda zmiana ma swój początek w głowie.

— Z tego samego założenia wyszliśmy, zapraszając do Olsztyna czołową kadrę mówców motywacyjnych w Polsce. Ci ludzie potrafią z pozytywnym



W czerwcu czeka nas drugi duży krok w przód w sposobie myślenia o naszej małej ojczyźnie.

przekazem dotrzeć nie tylko do młodych, ale to dla nich są często autorytetami. Młode społeczeństwo Warmii i Mazur nosi w sobie ogromny potencjał, pokłady energii i pomysłowości, jednak czasem brakuje tej iskry zapalnej do działania. Dobór prelegentów gwarantuje, że na pewno będzie się skrzyć.

— Gdzie jeszcze trzeba wzbudzać zapał do rozwoju potencjału Warmii i Mazur?

— Zarówno wśród mieszkańców, jak i na zewnątrz. Warto poprawić nasz obraz we własnych oczach — miejsc, ludzi i pomysłów, którymi możemy się chwalić. Nie ustajemy równocześnie w przekonywaniu, że warto u nas inwestować na wielu płaszczyznach. Że nasz region jest nie tylko miejscem wypoczynku — można tu prowadzić biznes, rozwijać start-upy i, co więcej, na tym zarabiać. Dlatego gorąco zapraszam wszystkich do wzięcia udziału w kolejnym kongresie i do zabrania głosu w tej wielkiej publicznej debacie o przyszłości Warmii i Mazur.

 kongres
przyszłości
odbędzie się
w Olsztynie



PRZYSZŁOŚĆ JEST KOBIETĄ

\\\ PRZYGOTOWANIA DO II KONGRESU PRZYSZŁOŚCI IDĄ PEŁNĄ PARĄ. TO GIGANTYCZNE PRZEDSIĘWZIĘCIE. PRACUJE NAD NIM WIELE OSÓB. NOWOŚCIĄ BĘDZIE M.IN. PANEL W FORMIE WARSZTATÓW DLA KOBIET — MÓWI BEATA TOKARCZYK, PEŁNOMOCNIK ZARZĄDU GRUPY WM DS. OPERACYJNYCH. Fot. Zbigniew Woźniak



— W Polsce Panowie żyją statystycznie o jakieś 8 lat krócej niż kobiety. Proszę powiedzieć, skąd to się bierze?

— Kobiety generalnie są silniejsze. Psychicznie, emocjonalnie. Jesteśmy zaradniejsze. Większość z nas pracuje na kilka etatów: jesteśmy matkami, opiekunkami, godpodniami domowymi, pracownikami, szefami. Nasze etaty zaczynają się w momencie, kiedy otwieramy oczy rankiem i zamykamy (zwykle padając nieprzytomne na łóżko) wieczorem. Pracujemy nawet wówczas gdy śpimy, bo nie śpimy tylko czuwamy <śmiech.... jak Chuck Norris> To wtedy, gdy mamy dzieci. Jest nawet żart mówiący o zasypianiu: Kiedy kobieta oznajmia domownikom „Idę spać” to zajrzy do pokoju dzieci, przykryje je, ucałuje, wyniesie z ich pokoju stopy szklanek, kubków i talerzy, sprawdzi czy są ogarnięte zwierzątka domowe, przygotuje sobie i młodszym dzieciom ciuchy na następny dzień, sprawdzi w notatkach co jest do zrobienia na jutro, wyśle sms-a do koleżanki, o którą się martwi. I po 40 min kładzie się do łóżka. Mężczyzna kiedy oznajmia „Idę spać” po minucie chrapie już w łóżku.

— Przed nami wydarzenie roku na Warmii i Mazurach czyli II Kongres Przyszłości.

— Tak. Przygotowania do Kongresu idą pełną parą. To gigantyczne przedsięwzięcie. Wiele osób po stronie obu organizatorów jest zaangażowanych w jego przygotowanie.

— Czym II Kongres będzie się różnił od ubiegłorocznego. W czym będzie lepszy?

— Różnica będzie naprawdę duża. Może zatem od początku. Po pierwsze będzie dwudniowy. Po drugie: pierwszy kongres pokazał naszym przedsięwzięciem duży, średnim i małym, że można zbudować płaszczyznę do współpracy między sobą, z samorządami. Dlatego w tym roku, większa ilość przedsiębiorców zaangażowała i o gospodarce będzie dużo więcej, bo całe dwa dni. W panelu „podejmij wyzwanie” będziemy mieli treningi ze znanymi i uznanymi trenerami z Polski. Będzie również nowość- panel w formie warsztatów dla kobiet - całe dwa dni, które my kobiety możemy sprezentować sobie. Zaprosiliśmy wielu znanych i lubianych czasem też kontrowersyjnych ludzi z całego kraju: polityków, samorządowców..... długo by wymieniać śledźcie nas Państwo w internecie i w mediach społecznościowych.

— Skąd pomysł na warsztaty dla kobiet? Przecież w Olsztynie jest kilka takich eventów.

— Tak, to prawda. Jednak nigdy dosyć inwestowania w kobiety! Od nas naprawdę dużo zależy! Mam już trochę dość tego co się dzieje po obu stronach kobiecej barykady. Z jednej strony walczące feministki, z drugiej strony inna skrajność. My kobiety zachowujemy się trochę tak, jakbyśmy za wszelką cenę chciały pokazać swoją wyższość. Jakbyśmy były niedowartościowane i w jakikolwiek sposób chciałybyśmy zwrócić na siebie uwagę. Myślę, że nie tędy droga. Feminizm jest dobry, naprawdę. Jednak wtedy kiedy znaczenie tego słowa nie jest wypaczane. Powinnyśmy

walczyć o siebie, o to, abyśmy były godnie traktowane, jako pracownicy, szefowie a nawet przez własnych mężów, synów. Pamiętajmy, że kto mieczem wojuje od miecza ginie. Pokażmy zatem naszą godność i klasę. Drogie Panie mądrym sprytem, uczciwością wobec nas samych i innych jesteśmy w stanie góry przenosić :-)

— A czy wyjawi nam Pani więcej szczegółów o warsztatach?

— Rąbka tajemnicy uchylić mogę :-). Plan na kongres dla kobiet zakwitł w mojej głowie 3 lata temu. Niestety z wielu względów nie udało się go zrealizować. Jednym z nich i chyba najważniejszym był brak wiary, że to ważne i dobre dla kobiet w naszym regionie. Kilka zespołów podchodziło do realizacji i kłapa... Coś jednak fantastycznego powstało przy pierwszej próbie - nazwa! O ile mnie pamięć nie myli mężczyzna ją wymyślił: Bez Gorsetu. Tak. Nazwa jest genialna! Wszak program jest jeszcze dopinany na ostatni guzik, ale mogę powiedzieć, że będziemy się uczyły nowej, lepszej siebie. Dzień po dniu. W domu, w pracy, w kuchni, przed lustrem, w garderobie no i oczywiście w sypialni.

— Nazwa rzeczywiście intrygująca, co ona znaczy dla Pani?

— Ten gorset to są nasze ograniczenia. Każda z nas je posiada. Wiadomo, że dzisiaj kobiety nie noszą gorsetów w sensie bielizny. Ale zakładamy sobie inne gorsety: psychiczne, zachowawcze. Same na siebie zakładamy gorsety w postaci zasad, reguł, bycia najlepszą, nieomylną, tą która zawsze sobie poradzi. Czasem to my same dla siebie jesteśmy największymi wrogami. A gdyby tak dawać sobie więcej luzu? Nie aż tak dużo i nie od razu, ale powoli.... Pozwólmy mężczyźnie zadbać o nas :-)

— A na zakończenie proszę zaprosić nasze czytelniczki i internautki na Bez Gorsetu.

— Drogie Dziewczyny, Panie, Babeczki, Kobiety! Przygotowaliśmy dla Was prawdziwą PETARDE! Dwa dni warsztatów. Tylko dla Was. Poruszymy wiele tematów, o których boimy się mówić głośno. Pokażemy, że jeśli my same jesteśmy nieuleżone, niepewne, niedowartościowane to nasze otoczenie też takie jest. Pokażemy i powiemy, że wszystko zależy od nas i dlatego tak ważne jest, aby zacząć o siebie dbać. Szukajcie szczegółów na str Kongresprzyszlosci.pl

rozmawiała Agnieszka Porowski

\\\ **Beata Tokarczyk**, pełnomocnik zarządu Grupy WM ds. operacyjnych, prywatnie żona i mama trzech synów.

Spotykamy się 7-8 czerwca w Centrum Konferencyjno-Szkoleniowym UWM w Olsztynie. Wszystkie przychodzimy Bez Gorsetów. Bo dzisiaj gorset nie ogranicza nas już fizycznie, ale mentalnie. To blokada, którą narzuca nam otoczenie, a czasami niestety my same. Na Kongresie natadujemy Was pozytywną energią, która pomoże nam zdobywać kolejne szczyty. Bądźmy świadome tego, że przyszłość jest w znacznej mierze w naszych rękach.



KONGRES PRZYSZŁOŚCI

Inspiracja Wiedza Motywacja gotowi na jutro!



Jakub B. Bączek

Marzenia się spełnia!



Iwona Guzowska

„Najważniejsza decyzja”



Kasia Bosacka

Wiem, co jem, wiem, co kupuję.



Qczaj

Kobiety mają się „ukochać”!

7-8 czerwca

Centrum Konferencyjne UWM

www.kongresprzyszlosci.pl

TO TU, W OLSZTYNIE, NABRAŁEM WIATRU W ŻAGLE I PEWNOŚCI

\\ INŻYNIER Z AKTORSKIM TALENTEM CZY
AKTOR Z INŻYNIERSKIM SPOJRZENIEM?! Z
TOMASZEM CIACHOROWSKIM, AKTOREM
TEATRALNYM I TELEWIZYJNYM, ROZMAWIA
AGNIESZKA POROWSKA Fot. Wojciech Jarycha

— Jesteś znanym aktorem, widzimy cię w najpopularniejszych serialach, ale twoja droga do aktorstwa była nieoczywista.

— Aktorstwo nie fascynowało mnie od zawsze. Dopiero w czasie studiów na Politechnice Gdańskiej postawiłem swój pierwszy krok na scenie. Związałem się z amatorskim teatrem, który działał przy hufcu ZHP Gdynia. I to właśnie tam połąkłem aktorskiego bakcyła. Grupę prowadziła moja serdeczna koleżanka Karina. To ona zachęciła mnie do tego, żebym porzucił karierę projektanta napędów okrętowych i pomyślał o aktorstwie.

— I właśnie po to przyjechałeś do Olsztyna?

— Właściwie przyjechałem jako osoba towarzysząca. Karina miała już za sobą kilka nieudanych prób dostania się do szkół aktorskich.... Warszawa, Kraków, Wrocław, Olsztyn i Studium im. Sewruka miał być jej ostatnim podejściem. Przekonała mnie, żebym wziął udział w tych egzaminach razem z nią.

Co prawda nie wiązałem jeszcze wtedy swojej przyszłości z aktorstwem. Traktowałem wówczas teatr wyłącznie jako hobby, ale za jej namową przygotowałem kilka tekstów i podszedłem do egzaminu. To był 2005 rok. No i nieoczekiwanie to ja się dostałem, ona nie.

— Byłeś wcześniej w Olsztynie?

— Nie, to była moja pierwsza wizyta. Pamiętam, że gdy w czerwcu 2005 roku wysiadłem na dworcu głównym, trochę się rozczarowałem, mówiąc delikatnie. Ale gdy udaliśmy się z Kariną w okolice teatru i spacerowaliśmy się po Starym Mieście, a później do kolejnych etapów egzaminu przygotowywaliśmy się, leżąc nad Jeziorem Długim, to byłem już Olsztynem zauroczony.

To jedno z takich miast, które zyskuje przy bliższym poznaniu. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że spędzę w nim kolejne 3 lata swojego życia. Nawet gdy ogłoszono wyniki i okazało się, że jestem na liście przyjętych, to nie byłem jeszcze w stu procentach zdecydowany na ten krok. Jak gdyby nigdy nic wróciłem do swoich obowiązków w Gdańsku i dopiero we wrześniu, choć bez szczególnej euforii, raczej kierowany ciekawością, zakładając, że po tygodniu może dwóch wróć do Trójmiasta, spakowałem jedną małą torbę i przyjechałem.

— Czyli Olsztyn miał być chwilowym kaprysem świeżo obronionego inżyniera? Co na to rodzice? Nie bali się, że syn okaże się wiecznym studentem?

— Oprócz Kariny absolutnie nikt nie wiedział, że ja do tych egzaminów w ogóle podszedłem. Nikomu o tym nie powiedziałem. Dopiero tydzień przed rozpoczęciem nauki przyznałem się do wszystkiego rodzicom. Powiedziałem: „Co prawda jadę tam, ale spokojnie, jestem pewien że niedługo wrócę”. Ro-

\\ **Tomasz Ciachorowski** : urodził się w 1980 r. Gdańsku. Absolwent Wydziału Oceanotechniki i Okrętownictwa Politechniki Gdańskiej oraz Studium Aktorskiego im. Aleksandra Sewruka przy Teatrze Jaracza w Olsztynie, które ukończył w 2008 roku. W 2008 roku zadebiutował na ekranie rolą Jana Złotopolskiego w serialu TVP2 „Złotopolscy”. W 2010 roku zagrał główną rolę męską w serialu TVN „Majka”. Od 2015 roku gra Artura Skalskiego w serialu „M jak miłość”. Jesienią 2016 roku brał udział w szóstej edycji programu „Taniec z gwiazdami”. Wiosną 2018 roku TVN wyemituje trzeci sezon programu Agent Gwiazdy z udziałem Ciachorowskiego.

dzice przyjęli to z zaskoczeniem, ale nie próbowali mnie od tego odwieść. Bali się tylko, że jak wyjadę, to nie obronię magisterki, która jeszcze wtedy nade mną wisiła. Magistrem zostałem, będąc już na... pierwszym roku studium aktorskiego (śmiech).

— **Mówiłeś, że zaraz wrócisz, ale nie wróciłeś...**

— Tak, szkoła mnie dosłownie wessała! Dziesięć lat minęło odkąd ją skończyłem i z perspektywy czasu mogę powiedzieć, że były to najpiękniejsze lata mojego prawie 40-letniego życia. Niesamowicie się tu rozwinąłem.

Do Olsztyna trafiłem jako osoba nieśmiała, skryta i wycofana. I tu nabrałem wiatru w żagle. Zacząłem w siebie wierzyć. Zauważyłem, że coraz lepiej czuję się na scenie. Nawiązałem też piękne przyjaźnie, które trwają do tej pory. Z większością mojego roku wciąż utrzymuję regularny kontakt.

— **Organizujecie jakieś zjazdy w Olsztynie?**

— Raz na jakiś czas. Zawsze chętnie tu wracam. Ostatnio byłem w Olsztynie na zjeździe absolwentów we wrześniu 2016 roku, gdy Studium u Sewruka kończyło 25 lat. Przyjechaliśmy z różnych stron Polski spotkać się profesorami, aktorami i zobaczyć jak wygląda teatr po remoncie. Część mojego roku mieszka tak jak ja w Warszawie. Mój rocznik miał dużo szczęścia, bo po dyplomie wszyscy bez wyjątku dostaliśmy pracę w zawodowych teatrach. Na roku było 12 osób. Rozjechaliśmy się po całym kraju... Zakopane, Cieszyń, Rzeszów, Płock, Kielce. Ja wspólnie z dwiema koleżankami i kolegą dostałem pracę w Zielonej Górze. Traktowałem to wówczas jako duży sukces!

— **Byłeś najstarszy na roku, już z pewnymi studenckimi doświadczeniami. Nie czułeś się w swojej grupie źle?**

— Tak samo leciwych jak ja było tam jeszcze kilku adeptów. Tylko połowa z nas podjęła naukę w Studium od razu po maturze. Rozrzut w naszej grupie pod względem wieku był niemały. Ja np miałem wtedy 25 lat, ale wśród nas było też przecież kilku 18-latków. Mimo to tworzyliśmy zgrany, choć bardzo różnorodny team. Być może dlatego, że zdecydowana większość z nas nie pochodziła z tych stron. Z Warmii i Mazur były tylko dwie koleżanki, jedna z Ostródy, a druga z Lidzbarka Warmińskiego. Pozostali byli „uchodźcami” z odległych województw i mieli mentalność tzw. stoików. Dobrze się więc czuli w towarzystwie innych przesiedleńców.

— **Gdzie was najczęściej można było spotkać?**

— Najbardziej upodobaliśmy sobie BoomTown. To nieistniejący już klub przy teatrze. W środy po elementarnych zajęciach aktorskich zawsze chodziliśmy tam całym rokiem na reggae party. Najwięcej jednak czasu spędzaliśmy w restauracji Teatralnej u pani Jagódki. Po zajęciach, próbach, a potem spektaklach to tam najczęściej odreagowywaliśmy do późnych godzin nocnych napięcia związane z nauką, ale również topiło się tam w piwie wiele rozczarowań które są nieodłącznie wpisane w ten zawód.

— **Gdańsk, Olsztyn, Zielona Góra, a teraz Warszawa. Czujesz, że otworzył się przed tobą wielki świat?**

— Ten świat, jaki się przede mną otworzył, wcale taki wielki — jak się okazało — nie jest. Czasem wręcz wydaje się być małą piaskownicą. Na pewno Warszawa i praca przed kamerą w popularnym serialu daje aktorom szansę zaistnienia w tym świecie. Człowiek staje się rozpoznawalny. Ale staram się pamiętać, że aktor szkoli swój warsztat głównie w teatrze.

Gram na deskach Teatru Capitol i Teatru Scena Prezentacje na Woli. Wspólnie z aktorami trochę starszymi ode mnie pokazujemy też w różnych miastach w Polsce spektakl „Ranny ptaszek”. Może w niedalekiej przyszłości odwiedzimy też Olsztyn. Nie porzuciłem teatru dla seriali.

— **Teraz Grasz w „M jak miłość”, ale to „Majka” dała ci popularność...**

— Tego całego celebryctwa doświadczyłem dopiero, kiedy serial się... skończył. Podczas pracy na planie nie mieliśmy kompletnie świadomości, że to aż tak popularna telenowela. To znaczy teoretycznie wiedzieliśmy, że serial śledzi prawie cztery miliony widzów, ale w praktyce nie odczuwaliśmy tego, bo siedzieliśmy po kilkanaście godzin dziennie w hali zdjęciowej. Dopiero po dwóch latach, gdy skończyliśmy zdjęcia, okazało się, że ten serial przyniósł mi rozpoznawalność, o którą w żaden sposób nie zabiegałem.

Oczywiście dzięki znajomości z „Majką” mogłem liczyć na więcej propozycji zawodowych. Sukces tego serialu otworzył mi wiele drzwi i zapoczątkował wiele wydarzeń w moim życiu, których, z wyjątkiem kilku nietrafionych wyborów, nie żałuję

— **Teraz w „M jak miłość” nie grasz już tak sympatycznego chłopaka jak wcześniej. Zaczepiają cię jeszcze w kolejkach? Proszą o autografy?**

— W Warszawie moja twarz, mimo że kojarzona z telewizora, wtapia się w morze innych twarzy. To m.in. różni Warszawę od Krakowa. Tam byłem często pozdrawiany na ulicy przez obcych mi ludzi, a w stolicy nikt na nikogo praktycznie nie zwraca uwagi.

Poza tym od ostatniego odcinka „Majki” minęło już kilka lat, a to roli Michała Duszyńskiego zawdzięczał największy rozgłos. Wszystko to już na szczęście trochę okrzepło, kurcz wokół tego serialu zdążył już opaść.

Oczywiście jak wyjadę ze stolicy, to wokół mnie jest więcej zaciekawionych spojrzeń i komentarzy pod moim adresem. Ale mimo że gram teraz niezbyt lubianą postać, to ludzie w rozmowie w cztery oczy raczej się do tego nie odnoszą. Nikt mi prosto w twarz nie okazuje antypatii.

Wiem jednak, że aktorzy zawsze w jakimś stopniu są utożsamiani przez widzów z bohaterami, których grają, więc niewykluczone, że za moimi plecami ktoś czasem obgada serialowego Artura, a mnie wraz z nim (śmiech).

— **Gdzieś przeczytałem, że marzy ci się spotkanie z Kasią Nosowską...**

— Oj tak, dużo bym dał, żeby móc spędzić choćby godzinę w jej towarzystwie. Kasię Nosowską adoruję od wielu, wielu lat. „Zakochałem się” w niej już jako nastolatek. Wokal, teksty i osobowość. Bezpretensjonalna i tak autentyczna, że aż pospolita. Pięknie opisuje, a potem wyśpiewuje smutek, jakim podżyte jest nasze życie. Jej teksty, jak żadnego innego współczesnego autora, rezonują z moim wyobrażeniem o świecie.

— **Jesteś człowiekiem refleksyjnym?**

— Na pewno nie jestem duszą towarzystwa. Z drugiej strony jestem optymistą. Czy to się w ogóle da pogodzić? (śmiech) Optymistyczny introvertujący nietrąskający entuzjazmem...

— **Brzmi ciekawie, ale coachem bybyś chyba słabym...**

— Zdecydowanie. Choć wydaje mi się, że potrafię czerpać z życia to, co najlepsze. Mimo wszystko kolekcjonuję tylko pozytywne wspomnienia z przeżytych już dni. To, co złe, szybko wyparowuje mi z głowy. Natomiast żeby na każdym kroku wykrzykiwać, jakie życie jest piękne? Nie, to nie dla mnie.

— **Nosisz dość ciekawe jak na aktora nazwisko. Aż samo się nasuwa, żeby skrócić je do ciacha. Nominowano cię do Telekamer i do Viva Najpiękniejsi, ale nie zawsze byłeś postrzegany jako przystojniak. Po sieci krążą stare zdjęcia...**

— Można zapytać moich kolegów z Olsztyna, którzy mnie znali 10 lat temu, że do adonisa było mi raczej daleko. Mówiono o mnie oczywiście ciachko lub ciasteczko, ale tylko i wyłącznie z uwagi na moje nazwisko. Ta ksywka przykleiła się do mnie już w przedszkolu i nie miało to nic wspólnego z moją atrakcyjnością lub jej brakiem.

— **Nie oszukujmy się, wygląd w zawodzie aktora jest ważny. A twoja metamorfoza wyraźna. Mówi się o tobie jako o biegaczu. To sport stoi za tą przemianą?**

— To fakt. Żyję aktywnie, uprawiam dużo sportu. Od jakiegoś czasu o wiele więcej niż kiedyś. I nie chodzi tylko o to żeby wymodelować swoje ciało, ale też żeby zacząć inaczej myśleć. Może po prostu ludzie, którzy zbliżają się do czterdziestki, tak już mają (śmiech).

Mówię tu o pewnym fundamentalnym przewartościowaniu, jakie się na pewnym etapie życia dokonuje. Teraz np. starannie niż kiedyś dobieram rozrywkę i wszelkie aktywności. Towarzyszy mi też coraz częściej świadomość, że moje ciało jest moim narzędziem, które wykorzystuję w swojej pracy. Muszę je zatem szanować, starać się, aby te wszystkie podzespoły, które składają się na to ciało, były jak najbardziej sprawne.

— **Masz w tym roku w planach jakiś maraton?**

— Mam plan pobiec w czerwcowym maratonie w mazurskim Gałkowie. Organizuje go moja przyjaciółka, która mnie do tego namówiła. Już zadeklarowałem swój start, więc byłoby trochę nieelegancko teraz się wycofać. Trochę się stresuje, bo to będzie mój debiut na tak długim dystansie.

— **Inżynier, aktor, biegacz, ale tancerz to chyba z ciebie słaby?**

— Chodzi ci o mój występ w Tańcu z Gwiazdami?! No cóż... zanim się rozkręciłem, to już musiałem pożegnać się z programem.

— **Czego zabrakło? Pewności siebie? Zdrowia? Szczęścia? A może talentu?**

— Na swoje usprawiedliwienie powiem, że podczas prób ten walc, zdaniem mojej partnerki, wychodził mi nadszpiewanie dobrze. Ale podczas nagrania, a to była transmisja na żywo, towarzyszył mi tak ogromny stres, że nogi zaczęły mi się płątać, kroki mylić, a w oczach pojawiła się trwoga i panika. Choć te marne trzy punkty które dostałem od Iwony Pavlović trochę mnie rozczarowały... Olsztynianka nie przymknęła oka na moje niedomaganie. Nic po znajomości (śmiech).

— **Wystąpiłbyś jeszcze raz?**

— Chyba nie.

— **Ale nie obraziłeś się na programy telewizyjne. W wiosennej ramówce zobaczymy cię w programie Agent Gwiazdy.**

— Zgadza się. Do tej pory zostało nagranych 12 odcinków, 13 rozstrzygających będzie nagrany wiosną. Gra toczyła się w Hongkongu i na wyspie Bali. Razem ze mną wzięło w niej udział 13 osób związanych z show biznesem: muzyków, sportowców, aktorów, celebrytów. Mam nadzieję, że pomimo brutalnych reguł tej gry zyskamy sympatię widzów. Okazaliśmy się bardzo zgraną ekipą.

— **Powiesz mi w tajemnicy, kto jest agentem? Nikomu nie zdradzę.**

— Wszystko w swoim czasie. Zapraszam do tropienia agenta razem z nami.

PREZES, KTÓRY CZUJE KOPERNIKA



Przez wiele lat działał w biznesie w branży dewelopersko-budowlanej. Mistrz sportu, żeglarsstwa oraz tradycyjnej kuchni. Skończył ekonomię i zarządzanie. Aktywnie działa w samorządach, zasiada w radach nadzorczych, a od dwóch lat piastuje funkcję prezesa jednego z najstarszych tradycją hoteli w Olsztynie.

Z **Bartłomiejem Wasilewskim**, prezesem zarządu Hotelu Olsztyn Sp. z o.o. rozmawia Marta Wiśniewska.

- Skąd pomysł na zostanie hotelarzem?
- Zarłem zostałem, jak pani to nazywała „hotelarzem”, przeszedłem naprawdę długą drogę. Podczas studiów doktorskich w Polsce wyjechałem do USA do Waszyngtonu na stypendium i pracowałem jako menadżer w dużej międzynarodowej firmie zapewniającej kadre pracowników, m.in. w najlepszych hotelach na świecie. Nabywałem doświadczenia, wiedzę, uczyłem się od najlepszych. Po powrocie do kraju, jednak firmę inną już potrzebny się moje sny. Hotelarstwo zamieniłem na branżę dewelopersko-budowlaną. Podczas tej przygody udało mi się odnieść swój sukces, rozwinąć się.

- To dlaczego nie działa pan w branży budowlanej?
- Czysty przypadek i chęć zmian. Spółka z branży deweloperskiej, której byłem prezesem i współwłaścicielem miała swoją siedzibę w Warszawie. Ja od urodzenia jestem związany z Warmią i Mazurami. Natura i miłość do naszego regionu wzięła górę, dlatego postanowiłem tu wrócić. Miałem otworzyć swój biznes, ale dowodziłem się o kondycję na preesa zarządu, w spółce w Olsztynie, do której należy Hotel Kopernik. Obiekt był w trakcie rozbudowy, a przecież budowała mój korcik. Pomyślałem, że połączę swoje dwie umiejętności. Złożyłem CV i zostałem wybrany. Warto w życiu robić to, co się czuje i kocha.

- Odnalazł się pan w nowej roli już jako prezes-hotelarz?

- Nowe zadanie, nowe obowiązki i nowe problemy. Spółka, gdy ja obejmowałem znajdowała się, mówiąc ogólnie, w nie najlepszej kondycji. Budowa nowej



czyść, remontu i modernizacja starej, praktycznie stała w miejscu generując ogromne koszty przy bardzo niskich przychodach w związku z małym obłożeniem w hotelu. Nie było na co czekać. Musiałem szybko wdrożyć nowy plan i podjąć decyzję o naprawie. Udało się. Udało nam się odcisnąć się nowoczesnym obiektem.

- Hotel Kopernik to jeden z najstarszych hoteli w Olsztynie, a olsztyńanie go praktycznie nie znają. Co się w nim zmieniło?

- Obecnie powstały trzy nowoczesne sale konferencyjne/bankietowe o łącznej powierzchni ponad 400 metrów kwadratowych. Powstała też nowa restauracja oraz garaż podziemny, a obecnie budujemy kolejne sale konferencyjne. W sumie będzie ich szesnaście. W części noclegowej powstało 30 nowych pokoi o standardzie dorównującym hotelom cztero- czy pięciogwiazdkowym. W tym roku planujemy dokonać modernizacji tzw. starej części hotelu po wyremontowaniu recepcji, polny i stworzeniu strefy SPA, m.in. z basenem, grotą, sauną, siłownią i jacuzzi, podwyższamy standard hotelu z obecnych dwóch gwiazdek do co najmniej trzech. Po zakończeniu modernizacji będziemy dysponować blisko 200 miejscami noclegowymi w komfortowych, klimatyzowanych pokojach i to w bardzo atrakcyjnych cenach!

- To bardzo ambitne plany. Skąd finansowanie?

- Spółka prowadzi inwestycje z własnych środków i ze środków pochodzących z bieżącej działalności. Udało się to nam prowadząc regionalną politykę finansową, znacznie zwiększając obłożenie w hotelu oraz efektywnie wykorzystując nowe sale konferencyjne.

- Hotel Kopernik stanie się poważną konkurencją na olsztyńskim rynku hotelarskim?

Już teraz możemy powiedzieć, że staliśmy się konkurencją, bo notujemy zwiększenie obłożenia hotelu i nas jest więcej gości. To analogicznie w jakimś hotelu jest ich mniej, dlatego też musimy uważnie przyglądać się poczynaniom konkurencji. Oprócz komfortowych noclegów do dyspozycji mamy klimatyzowane sale konferencyjne bankietowe

z bezstrumieniową wentylacją mechaniczną, w których można zorganizować wydarzenia nawet na 400 osób, od konferencji przez bankiety po imprezy okolicznościowe z weselami włącznie. Szczegóły oferty można poznać kontaktując się z naszym działem marketingu lub na naszej stronie www.hotelkopernik.info





ARCHEOLOŻKA GRA NA BĘBNACH I TAŃCZY W AFRYKAŃSKIM RYTMIE

\\ Z WYKSZTAŁCENIA JEST ARCHEOLOGIEM, ALE TO, CO JĄ NAPRAWDĘ PASJONUJE, TO MUZYKA I TANIEC. ZORGANIZOWAŁA WYJAZD DO AFRYKI, ŻEBY NAUCZYĆ SIĘ ZACHODNIOAFRYKAŃSKIEGO TAŃCA. SPEŁNIA SWOJE MARZENIA. Z TANCERKĄ ANIKĄ KAMIŃSKĄ ROZMAWIA EWELINA ZDANCEWICZ-PĘKALA Fot. Sylwia Walczak

— **Taniec zachodnioafrykański. Większość osób w Polsce nie stykała o nim.**

— Rzeczywiście nie jest to popularna forma tańca w Polsce. Cały czas walczę z wiatrakami i próbuję go tutaj rozpropagować. Wliczając mnie, w Polsce jest kilka osób, które promują taniec zachodnio-afrykański. Ale to na razie skromna grupka pasjonatów. Wynika to z faktu, że nie ma zbyt wielu Afrykańczyków mieszkających w Polsce. W związku z tym nie mamy kontaktu z ich kulturą. Historycznie też nie mamy relacji z Afryką. Dlatego w Polsce afro to nowość i rzadkość.

— **A na czym polega ten typ tańca?**

— Hm... To, co przychodzi mi na myśl jako pierwsze, kiedy myślę o tym tańcu, to: ekspresja i wolność ruchu. Dodatkowo naturalność, energia taneczna, która jest skierowana do ziemi, ale też czerpana z ziemi. Wiem, że to może brzmieć abstrakcyjnie, ale po dłuższej praktyce można to zrozumieć i odczuć. Zresztą jest to cecha charakterystyczna dla tańców z całego kontynentu afrykańskiego. Ten „kierunek ruchu ku ziemi” wyróżnia taniec z czarnego lądu. Wiele osób, które mają większą wrażliwość duchową, odnajdują w tańcu zachodnioafrykańskim duchowe spełnienie. Na pewno trzeba powiedzieć, że jest to taniec stanowiący źródło wielu dzisiejszych tanecznych gatunków. Afro istniało, zanim pojawił się cały znany nam dziś taniec. W całym regionie Afryki Zachodniej wykształciło się wiele różnych stylów tańca, które tańczy się do bardzo zaawansowanych rytmów. Zawsze mówię, że Europejczycy poszli z rozwojem w melodie, a Afrykańczycy w rytm, choć melodie też mają piękne! W tych rytmach



Europejczycy poszli z rozwojem w melodie, a Afrykańczycy w rytm, choć melodie też mają piękne! W tych rytmach odnajdziemy źródła bluesa, swingu, jazzu i hip hopu!

odnajdziemy źródła bluesa, swingu, jazzu i hip hopu! Poza tym zachodnioafrykański taniec odwołuje się do codziennych czynności. Mamy np. taniec młodych dziewczyn, który oddaje ich szybkość i zwinność. Mamy też taniec silnych mężczyzn, który odzwierciedla ich cechy; mężczyźni się popisują, pokazują swoją siłę. Ale mamy też tańce starszych kobiet. Te są bardziej dystyngowane, delikatne i eleganckie. Zastosowanie danego tańca zależy więc od grupy społecznej i okazji, przy której jest tańczony. Każdy rytm, grany przez orkiestrę na bębnach djembe, dundun i innych, ma

ze sobą związane konkretne kroki taneczne. W Afryce tańczy się na różnego rodzaju fetach. Każda okazja jest dobra do zorganizowania muzyki i tańca (śmiech). Są to śluby, wieczory panieńskie, zbiory płonów, połowy ryb, wyruszenie na polowanie, przybycie czarownika, festiwal silnych mężczyzn, obrzezanie mężczyzn i wiele innych. To okazje tradycyjne, ale trzeba też zaznaczyć, że w związku z dużą zmianą cywilizacyjną w dużych miastach te tańce się zmiksowały. I nie do końca już odpowiadają swoim okazjom.

— **A jak ty trafiłaś na ten taniec? Dlaczego cię zainteresował?**

— Pierwszy raz zobaczyłam go na Festiwalu Bębnów i Ognia w Malborku 10 lat temu i... wtedy wcale mi się nie spodobał. Widziałam go wtedy w wykonaniu białych kobiet. Podobały mi się grane tam rytmy (Anika specjalizuje się w grze na etnicznych instrumentach perkusyjnych z różnych stron świata — red.), ale jeśli chodzi o sam taniec, to nie zaapatałam wtedy tego bakcyła. Dopiero po kilku latach poszukiwań, zawsze wśród tańców o afrykańskich korzeniach, natrafiłam na warsztaty tańca w Warszawie



Anika Kamińska: — Musiałam zdecydować: albo muzyka, albo archeologia. Wybrałam taniec i muzykę

z afrykańską tancerką Fantą Yayo. I wtedy już zakochałam się na dobre. Bo zobaczyłam ten, wtedy dla mnie niesamowity, styl, prędkość i żywotowość ruchu tej Gwinejki.

— **Miałaś się potem u kogo uczyć? Bo ta tancerka była pewnie w Warszawie z jednorazową wizytą?**

— Zaczęłam intensywnie szukać i znalazłam specjalistkę i pionierkę w Polsce szczególnie tańców gwinejskich i malijskich — Wiole Wojciechowską, która do dzisiaj jest moją nauczycielką. Zresztą Wiola jest Warmianką z Dobrego Miasta. Ona jako pierwsza wyjeżdżała do Afryki, żeby ten taniec poznać. A później to już szybko się rozkręciło. Zaczęliśmy zapraszać do Polski Afrykańczyków, organizować warsztaty. Potem ja sama wyjechałam do Afryki, żeby uczyć się na miejscu.

— **Kiedy to było?**

— W grudniu 2015 roku.

— **Jak twoja rodzina zareagowała na wieść, że jedziesz do Afryki?**

— Rodzice się przejęli i stresowali. Ja i tak musiałam odłożyć swój wyjazd o dwa lata, bo wcześniej w Mali wybuchła wojna domowa. Dopiero jak sytuacja się ustabilizowała, mogliśmy wyruszyć w naszą podróż. Pojechaliśmy najpierw w dwoje: ja i mój chłopak, później dołączyła do nas trójka przyjaciół. Cała nasza ekipa to pasjonaci muzyki, bębnow i tańca afrykańskiego. W Mali było już w tym czasie trochę spokojniej, ale i tak wciąż musieliśmy zachowywać dużą ostrożność.

— **Nie bałaś się?**

— Nie wiedziałam, czego się spodziewać, jechałam z otwartą głową. Trzeba było bardzo uważać na swoje zdrowie. Na to, co się je, pije, a przed wyjazdem przejść całą serię bardzo nieprzyjemnych dla ciała i dla portfela szczepień. Zrobiliśmy, co się dało, żeby zadbać o swoje bezpieczeństwo w Mali. Umówiliśmy się na miejscu z pewnym znanym muzykiem z Mali, który się nami bardzo dobrze opiekował. Rzeczywiście sprawował nad nami pieczę. Co ważne, nasz wyjazd nie był wyjazdem zorganizowanym, o wszystko na miejscu musieliśmy zadbać sami. Jeżdżenie z grupami jest łatwiejsze, ale nie dostarcza takich wrażeń. Szczególnie na naszym poziomie muzycznym i biorąc pod uwagę to, czego chcemy się nauczyć. Po prostu potrzebujemy prywatnych lekcji. Np. we Francji są organizowane wyjazdy nauki tańca do Afryki, ale, tak jak mówiłam, w Polsce jest to niepopularne. A z Francji jeździ się do Gwinei, Senegalu czy Mali całymi grupami.

— **W Afryce dotychczas byłaś raz, prawda?**

— Tak. Teraz planuję drugi wyjazd na dwa miesiące. Niestety wiąże się to ze sporymi kosztami. Jednak staram się często podróżować. Wcześniej byłam np. w Libii, ale to już z zupełnie innego powodu.

— **Prywatnie?**

— Pojechałam tam na wykopaliska archeologiczne, z wykształcenia jestem archeologiem.

— **Archeolożka grająca na bębnach i tańczący zachodnioafrykański taniec. Nietypowe połączenie!**

— Archeologia to moje marzenie z dzieciństwa. Jako dziewczynka wymarzyłam sobie, że chciałabym odkrywać skarby w zatopionych statkach i podwodne miasta. Ale, szczerze, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że rzeczywiście będę to robić! Potem okazało się, że w Polsce nie ma zbyt dużo pracy dla archeologów podwodnych. Poza tym wiąże się to z pracą naukową, która do pewnego momentu mnie wciągała, ale jednak później moja żywotowa natura skierowała mnie bardziej ku muzyce. Jeszcze chwilę po studiach wyjeżdżałam na wykopaliska, a później musiałam zdecydować: albo muzyka, albo archeologia. Wybrałam taniec i muzykę. Temu trzeba się poświęcić w całości, żeby robić to dobrze.

— **Odnosisz sukcesy! Jesteś od nas, z Olsztyna!**

— Tak, jestem rodowitą olsztynianką, choć jeszcze w liceum, 15 lat temu wyjechałam do Warszawy. Ale cały czas mam kontakt z Olsztynem! Bardzo kocham naturę, jeziora w tym mieście i staram się często do niego wracać. I teraz powzięłam sobie za cel, żeby spróbować w Olsztynie zorganizować warsztaty tańca zachodnio-afrykańskiego. Znalazłam osobę, która chce mi w tym pomóc — Magdalenę Faszczę, która prowadzi szkołę tańca Rytm. To bardzo otwarta, fajna osoba! Będziemy razem promować taniec zachodnio-afrykański warsztatami w Olsztynie już 20 stycznia. Na które oczywiście serdecznie zapraszamy!

/// **Anika Kamińska** Z wykształcenia archeolog, pasjonatka podróży, ale przede wszystkim muzyk i tancerka tradycyjnego tańca Afryki Zachodniej. Specjalizuje się w grze na etnicznych instrumentach perkusyjnych z różnych stron świata. Tańca afrykańskiego uczyła się u znakomitych mistrzów afrykańskich baletów i od znanych tancerzy europejskich.

Od kilku lat zajmuje się popularyzacją tradycyjnej muzyki i tańca zachodnioafrykańskiego. Jest współorganizatorem Around The Rhythm Festival, założycielem, muzykiem i tancerką w zespole Moribaya. Gra także flamenco w zespole Madrugada, a także muzykę afrokubańską w projekcie Viaje Al Tambor.



MOJA DUSZA PŁONIE, KIEDY GRAM ALBO KIEDY ROBIĘ COŚ WAŻNEGO

\\ KOBIETA Z ŻELAZA? MOCNA, TWARDA, SILNA. SKĄD BIERZE ENERGIĘ? MÓWI, ŻE NIE WIE. JEST OTWARTA, WIELE RZECZY JĄ INTERESUJE, LUBI LUDZI I TO, CO ROBI, ZASKAKUJE JĄ CODZIENNOŚĆ. Z AKTORKĄ KRYSZYNA JANDĄ ROZMAWIA JOLANTA CIOSEK

Fot. Łukasz Szymański

— „Ukazujący się dziennik Krystyny Jandy to ewenement na skalę światową. Nikt ze współczesnych artystów nie prowadził tak systematycznie zapisków. Jest w nich cała Janda” – pisze Leszek Bugajski w tygodniku „Wprost”. Czy rzeczywiście tak jest, że to cała prawda o pani?

— Prawda na użytek publiczny. Jeśli pani czytała już te dzienniki, jest jasne, że piszę je codziennie, poruszam sprawy bieżące, które według mnie mogą zainteresować wielu. Nie jest to pamiętnik, ani nie ma to charakteru zwierzeń osobistych. Te zapiski są prawdziwe, ale to raczej rozmowy z ludźmi na tematy ogólne.

— Czym jest dla pani codzienność pisania: obowiązkiem, koniecznością czy przyjemnością?

— Sposobem na kontakt z widzami, na przyjaźń i zaufanie, na inny rodzaj porozumienia. To także przyjemność, niewątpliwie, czy lepiej — potrzeba. Od jakiegoś czasu już w zasadzie nie piszę, a jeśli to interwencyjnie albo informacyjnie. Prowadzę dużą fundację i czasem ten bezpośredni kontakt bardzo się przydaje.

— Prowadzenie dwóch teatrów, fundacji, granie spektakli, reżyserowanie, pisanie książek i jeszcze dziennik — niektórzy mówią „kobieta z żelaza”. Jest pani z pozoru silna czy naprawdę ma pani w sobie „siłę za dwóch”?

— Wszystkie książki, które wydano, to zbiór moich zapisków, felietonów lub właśnie dziennik internetowy w papierowej wersji. Przede wszystkim gram. Także reżyseruję, a wszystko inne jakby przy okazji. Czy mam siłę za „dwóch”? Chyba nie, po prostu widać to co robię i może dlatego wydaje się to tak bogate. Poza tym to są rzeczy zebrane, zapiski i felietony to codzienna praca — nie praca wykonywana od lat, jakby od niechcenia, z chęci dzielenia się tym światem z innymi, i tyle.

— Skąd czerpie pani tyle siły, energii, tę niezwykłą pasję życia?

— To chyba najczęściej zadawane mi pytanie. Nie wiem. Jedni mają tak, inni inaczej. Ja jestem otwarta, wiele rzeczy mnie interesuje, lubię ludzi, to co robię, zaskakuje mnie codzienność. Może to ten „napęd”. Moja dusza płonie, kiedy gram albo kiedy robię coś ważnego. Wiem, czego chcę, wiem, czego nie zrobić, co jest dla mnie warte zapłonięcia, a co nie.

— Pani życie, choć pełne sukcesów, było nie tylko ustane różami: rozstanie z pierwszym mężem, śmierć drugiego, śmierć najbliższej przyjaciółki. Jak pani sobie radzi w sytuacjach takich bolesnych strat, czy ma pani jakąś receptę na zagojenie ran i ucieczkę od bólu?

— Nie, nie mam żadnej recepty, chyba nikt nie ma. Całym lekiem jest praca i spotkania z publicznością. Poza tym, każdy dostaje swoją „porcję” cierpienia i kłopotów. Trzeba to przyjąć. Trudno.

— Czy wiara pomaga przetrwać najtrudniejsze momenty życia?

— U mnie to raczej racjonalne myślenie i optymizm mimo wszystko. Lubię mieć świadomość, że to ja sama radzę sobie z przeciwnościami losu. Staram się być na to przygotowana i pomagać losowi jak umiem.

— Człowiek często w dramatycznych sytuacjach zadaje sobie pytanie: dlaczego właśnie mnie to spotyka? Książd Kazimierz Orzechowski, niegdyś aktor, powiedział mi kiedyś, że on też zadaje czasami takie pytanie i jest ono najgłupsze ze wszystkich. Zgadza się z tym pani?

— Ja w każdym razie nie zadaję sobie takich pytań. Jestem wyjątkowo wynagradzana przez los. Dookoła mnie jest tylu ludzi dużo bardziej doświadczonych, podziwiam ich, w miarę możliwości staram się im pomóc. Cały ten teatr, sztuka, jest czymś w rodzaju takiej pomocy. Wzajemnej próby zrozumienia świata i losu i tworzeniem wspólnoty.



\\ Krystyna Janda: z równym powodzeniem wciela się w najlepszą, Marię Callas, jak i w najgorszą, Florence Jenkins, śpiewaczkę świata. W panią Dulską i w knajpianą piosenkarkę dręczoną przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. A już w monodramach, które są od wielu lat jej znakiem firmowym, nie ma sobie równej aktorki: świetnie wciela się w Danutę Wałęsową i w rozmaite postaci kobiet po przejściach. Jeśli pojawia się na festiwalu piosenki, wykonuje „Gumę do żucia” tak, że powala publiczność i staje się legendą. A do tego reżyseruje zarówno w kinie, teatrze telewizji, jak i w teatrach. Śpiewa i nagrywa płyty. I oczywiście prowadzi własny teatr (a właściwie dwa: Polonię i Och-Teatr), który jest jedną z najchętniej odwiedzanych przez publiczność scen warszawskich. Jest tytanem pracy i za tę pracę zdobyła mnóstwo odznaczeń, tytułów i nagród, łącznie ze Złotą Palmą na festiwalu w Cannes. Właśnie wyszedł jej „Dziennik. 2003 – 2004”.

— Zdarza się pani zwątpienie w sens cierpienia?

— Nie rozumiem sensu cierpienia. Cierpienie nie ma sensu. Duchowy, wzbogacający, oczyszczający sens? Dziękuję bardzo. Są inne sposoby na zdobycie pełni człowieczeństwa. Ale skoro cierpienie, choćby z miłości, nas doświadcza, trzeba sobie z tym radzić.

— Ma pani bardzo skrytykowane poglądy polityczne, słynie z ostrego języka, w którym szczerze mówi pani, co sądzi o dzisiejszych rządach, bierze udział w protestach — czy to jest spełnianie obywatelskiego obowiązku w walce o mądrzejszy i lepszy jutrzejszy dzień?

— Tak, działam i protestuję zgodnie z moim poczuciem sprawiedliwości, zgodnie z logiką. Nieodzywanie się i obojętność uważam za „grzech”. Byłam dumna z Polski, którą wypracowywaliśmy w pocie czoła. Polski, wcześniej tak doświadczonej brakiem wolności. Protestuję przeciwko zabieraniu nam tej wolności.

— Postawa buntowniczką zapewne przysparza pani też wielu wrogów, otaczają panią nie tylko wielbicieli talentu. Odczuwa pani te podziały publiczności na co dzień?

— W teatrze nie, od strony widowni zupełnie nie. W internecie tak, ale nie bardzo się tym przejmuję. Boleję tylko na brak merytoryczności w atakach na mnie i nie odpowiada mi poziom tych ataków.

— Czasy się zmieniają, w naturalny sposób będzie musiał zmienić się też repertuar. Teatr nie może być już tylko beztroski, nasze plany repertuarowe przestają być już takie „rozkoszne” — powiedziała pani w jednym z wywiadów. Jaki zatem winien być i będzie pani Teatr Polonia i Och-Teatr? Jaki repertuar winno się dziś wystawiać?

— Przyszły rok to przede wszystkim 50. rocznica marca 68 roku. Przygotujemy spektakle na ten temat. Najpierw w styczniu „Żeby nie było śladów” historia Grzegorza Przemyskiego według nagrodzonej nagrodą Nike książki pana

Cezarego Łazarewicza. Potem „Zapiski z wygnania” Sabiny Baral. W kwietniu „Bał manekinów” Bruno Jasińskiego w reżyserii Jerzego Stuhr’a, „Przybora” według Piotra Cieplaka i nowa premiera Iwana Wyrupajewa. W sumie 8 premier na dwóch scenach w Teatrze Polonia i w Och-Teatrze.

— W dzisiejszych czasach łatwiej widza wzruszyć, niż rozśmieszyć — mówiła mi pani w wywiadzie kilka lat temu. A dziś? Coś się zmieniło?

— Nie wiem, na pewno ludzie chcą się śmiać za wszelką cenę, zapomnieć o kłopotach, ale przychodzą i szanują tematy trudne. Najważniejsze, żeby teatr był dobry, mądry, dobrze grany, żeby teatr był partnerem.

— Spektakl o Grzegorzu Przemyskim i ten na rocznicę Marca '68 — jednak nie może się Pani oderwać od polityki nawet w sztuce?

— To nie polityka, to dziś raczej sprawy historyczne, przypomnienie i przestroga. Nie można o tych tematach, ludziach, zdarzeniach zapomnieć. Mam też teksty współczesne, społeczne. Teatr i propozycja dla widzów musi być różnorodna.

— Dzięki tytanicznej pracy i talentowi osiągnęła pani bardzo dużo: miłość publiczności, karierę, kochającą rodzinę. Czego zabrakło na tej drodze — wyścigu życia?

— Niczego. Jestem zadowolona. Przeżyłam ciekawe życie, nie oglądam się za siebie, pracuję dalej. Od kiedy powstała fundacja, są to zadania naprawdę trudne, ale radzimy sobie. Wymaga to wszystko ode mnie wysiłku i odpowiedzialności, jakiej nigdy wcześniej nie miałam. Myślę tylko o przyszłości.

— Czego życzy Pani sobie z okazji minionych niedawno urodzin, a czego czytelnikom w tym świąteczno-noworocznym czasie?

— Chciałabym móc zajmować się tylko „sztuką”, znaleźć wytchnienie od tej codziennej teraz szarpaniny i uczucia konieczności protestu. Chciałabym, żeby wszystko się budowało, a nie rujnowało i psuło. Czytelnikom życzę spokoju, dostatku, poczucia bezpieczeństwa i szczęścia osobistego.



DZIĘKI SERIALOWEJ MAŁGOSI STAŁAM SIĘ TROCHĘ ODWAŻNIEJSZA

||| LUBI GRAĆ TAKIE POSTACI, KTÓRE MOGĄ ROZWIJAĆ SIĘ RAZEM Z NIĄ. A ZWIĄZEK Z MAŁGOSIĄ JANTAR JEST DLA NIEJ NADZWYCZAJNY. Z AKTORKĄ JOANNĄ BRODZIK, KTÓRA OD BLISKO 10 LAT GRA GŁÓWNĄ BOHATERKĘ „PENSJONATU NAD ROZLEWISKIEM”, ROZMAWIA BARBARA CHADAJ-LAMCHO Fot. Konrad Krogul/TVP

— Jakie są pani wrażenia po emisji pierwszego odcinka „Pensjonatu nad rozlewiskiem”?

— Po pierwszym odcinku są zawsze wielkie. Otrzymałam wiele sygnałów od widzów, którzy czekali na nowy sezon. Płynęło do mnie wiele ciepłych słów na temat spełnionych oczekiwań. Dla mnie to oznacza, że te własne emocje widzowie połączyli z losami bohaterów i że poprzez ekran dostarczyliśmy im wielu osobistych wrażeń.

— W pierwszym odcinku często wspomina się zmarłą Małgorzatę Braunek, pani filmową mamę Barbarę. Bardzo brakowało jej na planie? Bo ten odcinek serialu był w dużej mierze właśnie jej poświęcony.

— Nie sądziłam, że będziemy nadal kręcić.... Wydawało mi się, że wraz z odejściem Małgosi Braunek, ta historia się skończy. Ale udało nam się znów spotkać nad rozlewiskiem, choć już bez Małgosi. Jednak nie odczuwaliśmy pustki. Raczej pewien rodzaj obecności, bo przecież każdy z nas gdzieś ją w sercu nosi. Jeśli Małgosia jest w jakimś innym wymiarze, to nam sekunduje i troszczy się o nas. To było odczuwalne tego lata, gdy kręciliśmy zdjęcia.

— Pani filmowy związek z bohaterką serialu trwa już prawie 10 lat. To chyba długo?

— Jestem typem długodystansowca i lubię grać takie postaci, które mogą rozwijać się razem ze mną. A związek z Małgosią Jantar jest dla mnie nadzwyczajny. Nie tylko dlatego, że mamy już długi staż, ale przez te spotkania raz do roku, przez możliwość budowania postaci w kolejnym, nowym sezonie, na co w tym serialu jest czas. Mogę dokładać własne spostrzeżenia, rozwijam się i Małgosia Jantar razem ze mną. Ja na przykład dzięki mojej bohaterce stałam się nieco odważniejsza. Wraz z odwagą przyszła też zgoda na bycie sobą, co staram się też wszczepić Małgosi.

— Czy lubi swoją serialową bohaterkę?

— Lubię Małgosię! Moją bohaterkę darzyłam sympatią na długo przed

powstaniem serialu, po przeczytaniu książki „Dom nad rozlewiskiem”. I już wtedy Małgosia ujęła mnie swoją odwagą. Nie każdy ma jej tyle, by tak radykalnie wszystko zmienić... Ona ma w sobie cechy, które bardzo lubię — ciepło, tolerancję, taką gospodarską rękę, bo przecież ogarnia przestrzeń rozlewiska i jego mieszkańców. Myślę o niej, że jest fajną istotą, chociaż może czasami za mało myśli o sobie?

— A jak trafiła pani do serialu?

— Ta rola przyszła w bardzo ważnym okresie mojego życia. Poszłam na casting, który ogłoszono dokładnie rok po urodzeniu moich dzieci, gdy ostatnie miesiące spędziłam z nimi w zupełnie innej rzeczywistości. To wszystko razem i zmierzenie się z innymi koleżankami zainteresowanymi rolą Małgosi, było jak przekroczenie Rubikonu. Pamiętam, że gdy

szukowałam się do castingu, pierwszy raz od wielu miesięcy wkładałam zapinaną na guziki elegancką bluzkę, nie jakieś bawełniane, wygodne okrycie młodej mamy i czułam się wyjęta poza nawias swojego życia. To była dla mnie prawdziwa rewolucja, tak jak w życiu mojej filmowej bohaterki.

— Co roku wraca pani z ekipą filmową latem w okolice Ostródy. Poznała już pani dobrze nasz region? Ma pani jakieś ulubione miejsca?

— Moim największym skarbem w życiu są ludzie, których spotykam na swojej drodze. I mam

tę ogromną przyjemność, że przez te lata mogłam grać i nawiązać przyjacielskie kontakty z olsztyńskimi aktorkami Ireną Telesz i Joanną Fertacz. Tak jak z naszymi serialowymi chuliganami, których grają chłopaki z olsztyńskiego teatru. Ogromnie ich lubię i szanuję. Ich wkład w film jest wyjątkowy.

— A poza planem?

— Poznałam w Ostródzie wiele wspaniałych osób, jak Ela, właścicielka hotelu, w którym mieszkamy, czy Ania, która dba o to, żeby moje paznokcie wyglądały jak trzeba, gdy w pensjonacie, na planie obieram ziemniaki... Ania wraz z rodziną zabrała mnie latem na rejs po kanale, odkryłam niesamowite miejsca, te służy i pochylnie. Już rozmawiałam na ich temat z produkcją, może w przyszłości wykorzystamy te niezwykle plenery.



Wydawało mi się, że wraz z odejściem Małgosi Braunek, ta historia się skończy. Ale udało nam się znów spotkać nad rozlewiskiem, choć już bez Małgosi. Jednak nie odczuwaliśmy pustki.



Joanna Brodzik (na zdjęciu z Piotrem Grabowskim): — Lubię Małgosię! Moją bohaterkę darzyłam sympatią na długo przed powstaniem serialu, po przeczytaniu książki „Dom nad rozlewiskiem”. Ona ma w sobie cechy, które lubię — ciepło, tolerancję, taką gospodarską rękę, bo przecież ogarnia przestrzeń rozlewiska i jego mieszkańców

Jest ich wiele w okolicy Ostródy i Miłomłyna, gdzie znajduje się nasza filmowa leśniczówka. To niesamowite, że jedziemy gdzieś, wydawałoby się na koniec świata, a tu nagle pojawia się urokliwa wioska. Sama Ostróda jest bardzo fajnym miejscem do życia. I te przejazdy kolejowe... Zawsze można mieć wymówkę przy spóźnieniu na plan, że szlaban był zamknięty (śmiech).

— **To już nieaktualne. Właśnie rozpoczęła się budowa wiaduktu nad torami...**

— To już nie będzie wymówki (śmiech).

— **Chciałaby pani mieć taki pensjonat jak w „Rozlewisku”, albo dom na Mazurach?**

— Mam bardzo zaprzyjaźnione miejsce, które nazywa się Stara Szkoła. Mieszkałam tam na początku, gdy moi chłopcy byli jeszcze mali, a ja pracowałam na planie serialu. Zostawali tam, mieli świetną opiekę, a na mnie zawsze czekało po powrocie nakrycie i ciepła strawa. To cudowne miejsce,

niezwykli ludzie i wspaniałe wspomnienia. Zawsze chętnie tam wracam.

— **Pani bohaterka jest mamą pełną tolerancji, zrozumienia i cierpliwości. W życiu prywatnym też tak jest?**

— Nie rozmawiam o życiu prywatnym, ale tak, staram się być najlepszą mamą, jak to tylko możliwe. Chociaż są w życiu takie dni, kiedy przegrywam (śmiech).

— **Będzie następna, siódma seria tej mazurskiej sagi?**

— Nie wiem, bo to zależy od wielu innych czynników, nie tylko ode mnie. Teraz najważniejsze jest to, co się już wydarzyło i ma właśnie spełnienie na ekranie. Ale zawsze miło jest wrócić na plan „Rozlewiska”. Ubiegłego lata, podczas dnia zerowego, gdy pojawiłam się na planie, a ekipa już kręciła w Nastajkach, schodziłam skarpgą, którą przemierzam wiele razy, żeby się przebrać i przygotować do kolejnej sceny. I sama siebie zapytałam, jak się czuję? To było jak skrzyżowanie gwiazdki z początkiem wakacji... Radość, wzruszenie, ekscytacja. Czy można poczuć coś lepszego?

/// Telewizyjny serial, który powstał na podstawie powieści Małgorzaty Kalicińskiej pt. „Dom nad rozlewiskiem”, rozpoczął się w 2009 roku. Jego bohaterka — Małgorzata Jantar — ma dość dużego miasta, przenosi się na wieś, gdzie odnajduje sens życia i miłość. Potem, w kolejnych sezonach serialu, które powstały po sukcesie pierwszego, losy głównej bohaterki wzięły w swoje ręce scenarzyści i życie Małgosi wciąż przechodzi swoje wzloty i upadki.

Przez kilka ostatnich sezonów zdjęcia do serialu kręcone były w Ostródzie i okolicy, m.in. w Starym Młynie w Nastajkach, prawdziwym pensjonacie pod miastem. To wymarzony plan filmowy, bo poza głównymi bohaterami serialu, walorem zdjęć jest mazurska przyroda. Ekipa filmowa przygotowała kilka planów — to m.in. kościół w Kraplewie, leśniczówka koło Miłomłyna, sklep i hotel w Ostródzie. Tu ekipa ma swoją główną siedzibę, a w wolnych chwilach korzysta z uroków Mazur.

Reżyserem wszystkich serii „Rozlewiska” jest Adek Drabiński. — Spotykamy się z tą samą ekipą w świetnych okolicznościach przyrody — mówił reżyser na planie serialu. — Stary Młyn to niezwykle miejsce. Wszyscy się tu znają i lubią. Także bohaterowie serialu. Moją faworytką jest przede wszystkim główna bohaterka, bo to przecież cała moja troska, by jej życie szczęśliwie się potoczyło. Bo to jest taki kraj, to rozlewisko właśnie, gdzie dzieją się takie zwykłe, proste rzeczy. Chcę pokazać taką przestrzeń, do której każdy tęskni, a taką przestrzeńią są Mazury. Mam bardzo osobiste przeżycia związane z Mazurami. W dzieciństwie mieszkałam w Ogonkach koło Giżycka. Zawsze tu wracam, bo to magiczne miejsce — dodaje Adek Drabiński.

Od ubiegłego tygodnia na antenie TVP1 możemy śledzić losy bohaterów „Pensjonatu nad rozlewiskiem” już w jego szóstej odsłonie. Zdjęcia po-

wstawały od czerwca do sierpnia ubiegłego roku. Na planie pojawiły się znane twarze, m.in. Joanna Brodzik, Piotr Grabowski, Olga Frycz, Antoni Królikowski, Sylwia Juszczak, Anna Czarotryska-Niemczycka i Irena Telesz-Burczyk.

Do tej pory Elwirę grała Joanna Drozda, ale okazało się, że ze względu na inne zobowiązania, musiały zrezygnować, a w serialu zastąpiła ją Julia Pogrzebińska. Do ekipy filmowej „Rozlewiska” dołączyła też Ewa Bukowska, która w 6. serii ponownie wcieliła się w matkę Pauli (Anna Czarotryska-Niemczycka).

Do obsady serialu dołączył też Mikołaj Krawczyk. Gra Adama, przystojnego biznesmena, który zamieszkał w pensjonacie i postanowił rozkochar w sobie właścicielkę. Okazuje się, że ma też względem Małgosi inne plany, które mogą zrujnować życie nie tylko jej, ale też wszystkich jej bliskich. Ten bohater serialu pojawił się już w pierwszym odcinku 6. serii. Zjawił się też kilku mężczyzn, którzy sprawią, że spokojne i nieco nudne życie właścicielki uroczego siedliska najpierw nabierze rumieńców, a potem zmieni się w prawdziwy koszmar.

Małgosia dowie się, że jej mama pożyczyła pod zastaw pensjonatu ponad milion złotych! Tak więc będzie się działo w tym sezonie i życie mieszkańców „Rozlewiska” wcale takie sielskie nie będzie.

Kilka tajemnic zdradził też drugi reżyser Makary Janowski.

— W tej serii odeszliśmy trochę od tego sielskiego i magicznego życia nad „Rozlewiskiem” — mówił Makary Janowski. — Pojawi się wątek kryminalny, który zburzy spokój mieszkańców pensjonatu. Będziemy też mieć sławnych gości na planie. Pojawią się między innymi Karol Strasburger i zespół „Perfect”.

ZAGIĄŁEM PIOTRA KRAŚKĘ SWOIM PYTANIEM

\\ JEDENASTOLATEK MARZYŁ O TYM, BY ZOSTAĆ YOUTUBEREM. STWORZYŁ WŁASNY KANAŁ, NA KTÓRYM ZACZAŁ PUBLIKOWAĆ PIERWSZE FILMIKI, A NASTĘPNIE WYWIADY. NAWET JAK SIĘ Z NIEGO ŚMIEJĄ, NIE PODDAJE SIĘ. KACPER KOZIÓŁ Z FROMBORKA O SVOJEJ PASJI OPOWIADA ALEKSANDRZE JAKIMCZUK Fot. Archiwum rodzinne

— Założyłeś kanał na YouTube. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę!

— Gdy miałem 6 lat, wymarzyłem sobie, że chciałbym mieć swój kanał na YouTube. Początkowo rodzice nie zgodzili się na to, jednak widząc, że nie odpuszczam, pozwolili mi nagrać filmik, w którym zachęcałem do oddawania 1 procentu na rzecz Nikodema Jasiewicza. Wtedy zobaczyli, że lubię rozmawiać i pozwolili mi nagrywać. Moje pierwsze filmiki nie wychodziły tak jakbym tego chciał. Miały ok. 50 wyświetleń. Dlatego wymyśliłem, że będę nagrywał wywiady. I okazało się, że to bardzo dobry pomysł! Już pierwszy wywiad miał ponad 3 tysiące wyświetleń. Zaprosiłem do rozmowy panią Ewę Siejk, dyrektorkę mojej szkoły, a ona od razu się zgodziła. Przed rozmową przygotowałem wszystkie pytania i się ich nauczyłem.

— Z kim jeszcze rozmawiałeś?

— Między innymi z komendantem powiatowym policji w Braniewie podinsp. Edwardem Szydłowskim, senatorem Jerzym Wcisłą, panią burmistrz Braniewa Moniką Trzcińską. Bardzo miło wspominam wywiad z panią burmistrzem. Dobrze nam się rozmawiało. Wtedy po raz pierwszy miałem tremę, bo wywiad z burmistrzem miasta to, jak na 10-latkę to już bardzo wysoki cel.

— Jednak twoje marzenia sięgały jeszcze dalej.

— Tak, moim celem był wywiad z ministrem gospodarki morskiej i żeglugi Śródlądowej Markiem Gróbarczykiem.

— Dlaczego właśnie on?

— Bo mój dziadek i tata są rybakami, a minister jest jakby szefem rybaków. Miałem do niego różne pytania.

— Jak ci poszło?

— Napisałem list do ministra. Ale najpierw wysłałem list do Roberta Biedronia. On wysłał mi prezent i życzył „spełnienia marzeń”. I jak widać to podziałało, bo niedługo później marzenia się spełniły, choć szanse, że minister mi odpisze, były bardzo małe. A tu proszę, zgodził się! I choć bardzo się zdziwiłem, byłem przeszczęśliwy. Podziękował mi za list, zgodził na wywiad i zaprosił mnie do Ministerstwa Gospodarki i Żeglugi Śródlądowej w Warszawie.

— Zgodnie z obietnicą, rodzice pojechali z tobą do Warszawy.

— Tak. Dla pana ministra przygotowałem 22 pytania. Wymyślałem je wieczorem w domu. Niektórymi z nich zapędziłem go w kozi róg. Zapytałem, czy wie, że w tym dniu wypadła światowy dzień pizzy oraz o to, kogo pocałuje w walentynki. Nieźle się zdziwił. Pan minister też był dobrze przygotowany. Zadawał mi sporo pytań. Na pożegnanie dał mi prezent: wielką zabawkę w kształcie ryby i spytał, czy wiem, jaka to ryba? To było dobre pytanie! Powiedziałem, by chwilę poczekał. Wtedy sprawdziłem na metce, jak ona się nazywa i przeczytałem „fresh water fish”. I wiem jedno: pan minister to naprawdę przyjacielska osoba! Zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie. Najbardziej ujął mnie tym, że cały czas był wesoły. Od pierwszej sekundy, gdy go zobaczyłem, szeroko się uśmiechał. Pokazał mi swoje mapy Europy, a ja mu powiedziałem, że mam mapę świata w swoim pokoju.

— Miałeś szansę pochwalić się swoimi sukcesami w weekendowym wydaniu „Dzień dobry TVN”.

— Najpierw ekipa TVN przyjechała do Fromborka, gdzie mieszkam. Kręcili film ze mną i o mnie, także w Braniewie i Nowej Pasłęce. W sumie trwało to 7 godzin, a poszło z tego... 6 minut w telewizji.

— Pewnie dobrze się przygotowałeś do rozmowy z Kingą Rusin i Piotrem Kraśką?

— Nawet bardzo dobrze! Miałem do nich kilka osobistych pytań. Piotra Kraśkę zapytałem m.in. o ulubiony prezent od dzieci. Powiedział, że to rysunek, na którym byli tata, mama i góra. Kingę Rusin zapytałem o najśrodszą rzecz na świecie, jaką kiedykolwiek widział. Odpowiedziała, że



to jej córeczki — zaraz po urodzeniu. Jednak ostatnie pytanie okazało się trudne. Zapytałem, czy wiedzą, co to xD. Nie wiedzieli! Miałem wrażenie, że się zagotowali.

— A co to jest to xD?

— Emotikon śmiechu.

— Miałeś jeszcze inne trudne pytania?

— Tak, do pani Kingi, którego nie zdążyłem zadać na antenie. Chciałem zapytać ją, czy wie, co to jest subskrypcja i zachęcić ją do śledzenia mojego kanału.

— Nabrateś rozpędu. Teraz marzysz...

— ... o wywiadzie z parą prezydencką Agatą Kornhauser-Dudą i Andrzejem Dudą, a nawet z prezydentem Stanów Zjednoczonych! Mam już napisany list do pary prezydenckiej. Jeszcze go nie wysłałem, ale zrobię to w najbliższym czasie. A po parze prezydenckiej został mi już tylko Donald Trump! Mam także wysłany jeszcze jeden list i czekam na wywiad, ale to na razie sekret. Będę rozmawiał ze znaną osobą pochodzącą z Braniewa. Ten wywiad ukaże się już w poniedziałek na moim kanale.

— Jak widzisz siebie za 10 lat?

— Mam trzy drogi: naukowiec, dziennikarz lub naukowiec. Jeszcze nie wiem, którą z nich wybrać, ale mam sporo czasu, aby to przemyśleć.

Marina Maison

HOME & LIVING



AUTORSKIE KOLEKCJE MEBLI I DODATKÓW
MEBLE NA ZAMÓWIENIE



OLSZTYN, WERSAL, ul. Armii Krajowej 3/156
GDAŃSK, CITY MEBLE, ul. Grunwaldzka 211
GDYNIA, TRANSATLANTYK, Plac Kaszubski 17



www.marina-maison.pl



kontakt@marina-maison.pl

f /Marina Maison Home&Living

@MarinaMaison_HomeLiving



BO W ŻYCIU NAJWAŻNIEJSZE JEST, ŻEBY BYĆ W ZGODZIE ZE SOBĄ

W UWAŻA, ŻE KAŻDA KOBIETA POWINNA BYĆ TAKA, JAKA CHCE. KOBIETA WCALE NIE MUSI BYĆ WYZWOLONA. BYCIE WYZWOLONĄ NIE OZNACZA, ŻE JEST SIĘ LEPSZĄ KOBIETĄ. Z AKTORKĄ AGNIESZKĄ WIĘDŁOCHĄ, ODTWÓRCZYNIĄ GŁÓWNEJ ROLI W FILMIE „KOBIETA SUKCESU”, ROZMAWIA ALEKSANDRA ŁOZOWSKA Fot. Hubert Komerski/Activ Media

— W czwartek 8 marca odbyła się kinowa premiera nowego filmu, w którym gra pani główną rolę. Jak czuje się tytułowa „Kobieta sukcesu”?

— Dobrze (śmiech). Jest zabiegana i dąży do równowagi. Chcieliśmy, żeby kobiety oglądając film, uśmiechnęły się i pomyślały „dobra, we wszystkim sobie w życiu poradzę”, a panowie uwrażliwili się na problemy i dylematy otaczających ich kobiet.

— Premiera filmu w Dniu Kobiet niewątpliwie jest symboliczną datą. Jak pani spędza ten dzień?

— Akurat pracuję (śmiech). Ludzie przyjdą do teatru i nie mogą się rozczarować. Pracuję, że tak powiem, w branży rozrywkowej i jest to moment, gdzie to inni mają możliwość spędzenia uroczu tego dnia. Jest to też dzień, jak każdy inny, poza tym, że mężczyźni powinni wtedy bardziej postarać się dla swoich kobiet niż w inne dni.

— Czy główna bohaterka

— Mańka — ma z panią wiele wspólnego?

— Muszę powiedzieć, że na pewno łączy nas pracowitość i to, że łatwo się nie poddajemy. Właśnie to podobało mi się w bohaterce i na pewno jesteśmy pod tym względem podobne. Zawsze staram się nie poddawać tak łatwo i dojść w moim życiu do momentu, kiedy wiem, że nie da się iść dalej, że nie jest to możliwe i wtedy muszę zawrócić i zmienić kierunek. Mańka próbuje być perfekcyjna we wszystkim, co robi, ale tak naprawdę musi ogarnąć powstający wokół niej chaos, a więc to też jest dla nas wspólne. Natomiast ja, w przeciwieństwie do Mańki, staram się nie zapominać o swoich przyjaciółkach i rodzinie, i z pewnością jest to cecha, która zdecydowanie nas odróżnia.

— Czyli rodzina jest dla pani bardzo ważna.

— Tak, to prawda!



Mnie i Mańkę łączy pracowitość i to, że łatwo się nie poddajemy. Właśnie to podobało mi się w bohaterce. Zawsze w różnych sytuacjach życiowych staram się nie poddawać tak łatwo

— Na planie pani serialową siostrą jest Lilka, grana przez Julię Wieniawę, a w życiu prywatnym ma pani młodszego brata. Czy wasze relacje przypominają te filmowe — Mańki z Lilką?

— Nie, jednak relacja brat i siostra są zupełnie inną relacją niż relacja siostrzana. Dzieje się tak, ponieważ w takich parach są inne zainteresowania i inne potrzeby. Natomiast, jeżeli chodzi o młodszego rodzeństwo, to w życiu zawsze przychodzi taki etap, gdy młodszego rodzeństwo strasznie irytuje i trzeba czasem zacisnąć zęby i pomyśleć sobie „dobra, to jest moje młodszego rodzeństwo, trzeba mu to wybaczyć”. Jednak tutaj z Julką na planie też miałyśmy siostrzane relacje i traktowałam ją jak moją młodszą siostrę, a i Julka patrzyła na mnie trochę jak na starszą siostrę, więc nam obu dobrze się wspólnie grało.

— „Kobieta sukcesu” opowiada o odważnej, przebojowej kobiecie. Zgadza się pani z tym, że współczesne kobiety powinny być właśnie trochę takie jak Mańka?

— Myślę, że każda kobieta powinna być taka jaka chce i nie ma tutaj jednego klucza, jednej zasady na to, jaka kobieta powinna być. Kobieta wcale nie musi być wyzwolona. Bycie wyzwoloną nie oznacza, że jest się lepszą kobietą. Teraz mamy trend na bycie wyzwoloną, ja natomiast myślę, że każdy musi znaleźć coś ważnego dla siebie i nie ma sensu podążać za modą ani robić czegoś wbrew sobie. Najważniejsze, żeby żyć w zgodzie ze sobą. Film też właśnie jest o tym, że trzeba znaleźć swoją drogę.

— Na pani Instagramie są zdjęcia popierające Ogólnopolski Strajk Kobiet. Czym dla pani w tych czasach jest feminizm?

— Feminizm jest drogą do tego, by walczyć o swoje prawa, jest to ruch, w którym mogą mieć swój głos, w którym jako kobieta mogą powiedzieć, że na coś się nie zgadzam, coś nie jest dla mnie dobre.

— Czy pracowała pani kiedyś, tak jak Mańka, w korporacji?

— Nie, nie pracowałam w korporacji. (Śmiech)

— Mówiła pani, że główna bohaterka „Kobiety Sukcesu” nie jest typową postacią romantyczną. A więc czym się różni od postaci romantycznej?

— Nie jest to dziewczyna, dla której głównym celem jest znalezienie partnera i romantyczne podejście do związku. Jest na etapie, w którym okazuje się, że jej związek po prostu nie wyszedł. Mańka błędnie odczytywała sygnały swojego partnera. Po tym właściwie nie chce z nikim być, i uważa — może nie tyle, że związki są przereklamowane — ale, że związki chyba nie są dla niej, że nie ma łatwego charakteru, jest uparta i że ciężko z nią wytrzymać. Ta cała miłość wydarza się wbrew niej, ona o nią nie zabiega, to się po prostu dzieje. Często tak też dzieje się w życiu, nie zauważamy często obok siebie kogoś, kto jest dla nas idealnym partnerem.

— **A teraz grała pani w duecie z Bartoszem Gelnerem. Jak się grało w tej parze?**

— Fantastycznie, Bartek jest supergościem i bardzo pracowitym aktorem, więc mieliśmy dużo przyjemności ze wspólnego grania i wymyślania różnych scen. Bartek też z wielką cierpliwością przyjmował moje pomysły i rozwijanie scen, pozwalał, żebyśmy próbowali je przeprowadzać, a kiedy coś nam nie pasowało, po prostu z tego rezygnowaliśmy. Było fantastycznie i przez to, że się tak polubiliśmy, nie bałam się otwierać swojej wyobraźni i wymyślać nowych rzeczy.

— **W jednym z wywiadów przyznała pani, że bardzo lubi zwierzęta, a i tu — w „Kobiecie Sukcesu” — znów pojawia się pies. Ma pani jakieś zwierzęta w domu?**

— Tak, mam dwa uratowane, przysparzone koty. Jeden kot z lecznicy weterynaryjnej, a drugi wzięty z ulicy. Oba są ze mną od wielu, wielu lat, są moimi przyjaciółmi. Nie kupiłam też tych zwierząt, nie wyobrażam sobie, żeby kupować przyjaciół i zawsze dziwię się, kiedy ludzie tak chętnie kupują zwierzęta z różnych hodowli, a przecież to są często pseudohodowle. Wydawać na swojego przyjaciela mnóstwo pieniędzy tylko po to, żeby ten przyjaciel wyglądał tak, jak widzieliśmy to gdzieś na zdjęciach, w filmach, czy u sąsiadów i to, że ludzie chcą wszystko kupić — nawet przyjaciela — zawsze jest dla mnie rozczarowujące.

— **Wróćmy jeszcze do filmu. Nie pierwszy raz grała pani w produkcji w reżyserii Roberta Wichrowskiego, a na koncie ma pani wiele ról pierwszoplanowych. Pod czym okiem pracowało się pani najlepiej?**

— Bardzo dobrze wspominam pracę z Filipem Zylberem. Z Filipem bardzo się lubimy, bardzo go cenię, a sam Filip jest zawsze bardzo dobrze przygotowanym reżyserem. Nie daje za dużo uwag aktorowi, zostawia go trochę samemu sobie, co z jednej strony jest fantastyczne, bo można zrobić wiele rzeczy i nic nam nie narzuca, z drugiej strony jednak pojawia się strach, że ten reżyser za mało reżyseruje, za mało podpowiada. Do momentu, kiedy coś się nie zgrywa i wtedy Filip mówi „no nie, próbujemy jeszcze raz, inaczej”. Wtedy są takie momenty, w których się okazuje, że Filip jest bardzo uważny, że wszystko widzi i nad wszystkim czuwa. Rzeczywiście w takich momentach mam ochotę sama „wykombinować” coś więcej. Bardzo lubię pracę z nim, a także bardzo cenię go jako człowieka.

— **Czytałam, że zwykle, by zdążyć na plan, wstaje pani o 5 rano. Czy tym razem też tak było i pani dzień zaczynał się skoro świt?**

— Praca aktora na tym polega, że zaczynamy pracę bardzo wcześnie. Przeważnie, żeby zacząć zdjęcia o 8, trzeba wstać o 5, ponieważ trzeba dojechać, trzeba zostać ucharakteryzowanym, przebrać się w kostium, odbyć próbę i ustawienia... Niestety często trzeba wstawać bardzo wcześnie, ale czasami też bardzo późno, kiedy na przykład zdjęcia są nocne. Warto wtedy spać cały dzień, żeby w nocy nie być zmęczonym.

— **Ma pani jakieś ciekawe anegdoty z planu?**

— Z anegdotami to zawsze jest bardzo ciężko, bo zawsze coś się dzieje na planie, a później się po prostu o tym zapomina i kiedy dziennikarz pyta o anegdoty, wtedy pojawia się totalna pustka. Muszę więc powiedzieć, że w tym momencie mam pustkę w głowie, bo też ten plan nie był taki łatwy i przyjemny, jak to mogłoby się wydawać. Komedia romantyczna jest jednym z najtrudniejszych gatunków do nakręcenia i to była bardzo ciężka praca. Nie zawsze było wesoło, miło i radośnie, ale spotkałam niesamowitych ludzi i moją anegdotką z planu jest to, że przenieśliśmy relacje z planu na nasze życie i w naszym show-biznesowym świecie potrafimy się przyjaźnić, i z Bartkiem (Bartosz Gelner) i Pauliną Gałązką, i z charakterizatorką Ewą (Ewcią) Kowalewską, która jest absolutnym fachowcem. Niezwykle jest to, że po takim planie zostają przyjaźnie.

— **Jak celebrytuje pani zakończenie zdjęć?**

— Po zdjęciach zawsze mamy, całą filmową ekipą, wspólny bankiet, gdzie możemy już normalnie porozmawiać, spędzić czas wspólnie bez stresu pracy i pośmiać się.

— **W jednym z wywiadów powiedziała pani, że poszukuje sensu życia. Granie w filmach przybliżyło do znalezienia go?**

— Myślę, że aktorstwo to jest mój sposób na życie, bo ciężko jest się uwolnić od swojej pracy. To nie jest tak, że pracę mogę zostawić za drzwiami. Właściwie to jest praca 24 godziny na dobę, więc może to jest jakieś poszukiwanie sensu dzięki pracy, bo poznaję różne nowe rozwiązania sytuacji, których sama bym nie wymyśliła. Moja postać coś robi i ja, jako ja, muszę się zastanowić, czy też bym tak w życiu zrobiła. Czasami nawet korzystam z takich rozwiązań.

— **Czy może pani zdradzić nam, czy możemy spodziewać się pani wkrótce w jeszcze jakiejś produkcji?**

— Tak, zaczynam właśnie zdjęcia do „Planety Singli 2”, a później do „Planety Singli 3”. Oczywiście cały czas gram w teatrach w Łodzi i w Warszawie, więc pracy jest sporo, a ja z pewnością nie mogę się nudzić.



/// **Agnieszka Włodtucha:** aktorka teatralna i filmowa. Ukończyła szkołę muzyczną. Absolwentka łódzkiej Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera (2009). Aktorka Teatru im. S. Jaracza w Łodzi. Jest laureatką „Złotej Maski” – łódzkiej nagrody teatralnej – za najlepszy debiut sezonu 2009/2010. Rozpoznawalność przyniosła jej rola Leny Sajkowskiej w serialu wojennym „Czas honoru”, emitowanym na antenie stacji telewizyjnej TVP2, role w „M jak miłość” i „Lekarzach” oraz w filmach „Planeta singli”, „Gotowi na wszystko. Ex-terminator” i „Kobieta sukcesu”.

JAK ZOSTAĆ GWIAZDĄ MUSICALU? TRZEBA NAŚLADOWAĆ MOZARTA

\\ JEST ARTYSTĄ WSZECHESTRONNYM. WYSTĄPIŁ W TYSIĄCACH MUSICALOWYCH SPEKTAKLI, ŚPIEWA TEŻ W OPERZE. W OLSZTYNIE PRZEDSTAWIŁ W PIĄTEK WYJĄTKOWY, PIERWSZY I JEDYNY W POLSCE KONCERT UTWORÓW STEPHENA SONDHEIMA. Z MARCINEM WORTMANNEM, ŚPIEWAKIEM, ROZMAWIA EWA MAZGAŁ. Fot. Przemysław Getka

— **Panie Marcinie, proszę się przedstawić.**

— Kim jestem? Jestem aktorem musicalowym, śpiewakiem operowym, wokalistą jazzowym i skrzypkiem. Jestem asystentem na Uniwersytecie Muzycznym im. Fryderyka Chopina w Warszawie, dzielę się swoją wiedzą z uczniami Warszawskiej Akademii Musicalowej. Mam też wielu prywatnych uczniów.

— **Nie wiem, kiedy pan to wszystko robi, bo jak podaje Wikipedia, wystąpił pan w 3 200 spektaklach musicalowych.**

— Już jest ponad 3,5 tysiąca.

— **W Olsztynie wystąpi pan z Agnieszką Przekupień (rozmawialiśmy we wtorek) w koncercie kompozycji Stephena Sondheim. Okazało się, że jest bardzo popularny w Olsztynie, bo bilety się rozeszły.**

— (Śmiech) Bardzo miło mi to słyszeć.

— **Myślę, że wszyscy znają musical, do którego napisał, jako młody człowiek, teksty piosenek. To „West Side Story” Leonarda Bernsteina. Sondheim jest też autorem scenariuszy i muzyki do wielu innych dzieł. Ale proszę powiedzieć, dlaczego na bohatera swego autorskiego projektu wybrał pan właśnie jego?**

— W Polsce Sondheim jest raczej niezna-ny. Wiem, że teatr w Chorzowie wystawił jego tytuły. Tymczasem Sondheim, obchodzący w tym roku 88 urodziny, jest ojcem amerykańskiego teatru muzycznego. Nie jest może na piedestale, ale wielu innych kompozytorów — z piedestału — zainspirował.

— **Użył pan określenia teatr muzyczny. To coś innego niż musical?**

— Tak. W teatrze muzycznym Sondheim połączenie muzyki i tekstów jest nierozdzielne, jedno bez drugiego nie istnieje. Na koncercie zaśpiewamy songi z „Little Night Music”, „Company”, „Frogs”, „Anyone Can Whistle” i „Sweeney Todd”. Z tych tytułów znany jest może „Todd”, bo w filmie zagrał go Johnny Depp. Pozostałe musicale w Polsce nie są popularne. Ale zapewniam, muzyka jest przepiękna. Na koncert wybrałem utwory opowiadające o kobietach i myślę, że Sondheim, który jest otwartym homoseksualistą, doskonale zna złożoność płci żeńskiej i bardzo je szanuje.

— **Dlaczego ten koncert odbywa się właśnie w olsztyńskiej filharmonii?**

— Chciałem zrealizować go w Warszawie, na uniwersytecie, który mnie zatrudnia. Nie udało się, choć jest to pierwszy taki koncert w Polsce. Przez ponad półtora roku zatątałem z firmą MTI — największym dystrybutorem musicali na świecie i praw do nich — materiały nutowe. Trzy razy odwiedziłem ich biuro w Londynie, negocjując kwotę, jaką miałem zapłacić za dwa miesiące ich wypożyczenia. Można powiedzieć, że robię to wszystko dla nauki i sztuki.

— **Nauki?**

— Mój doktorat będzie dotyczył zagadnień techniczno-estetycznych stosowanych w musicalu. A, jako śpiewak klasyczny, chcę pokazać, jak inna — różna — jest estetyka śpiewania klasyki od wykonywania utworów musicalowych, choć aparat wykonawczy jest ten sam. A dyrektora Piotra Sułkowskiego poznałem wcześniej, bo byłem w Olsztynie już dwukrotnie.

Piotr Sułkowski i filharmonia jest otwarta na sztukę inną niż muzyka klasyczna. Dlatego zaproponowałem mu swój projekt, który zapozna melomanów z muzyką musicalową z trochę wyższej półki.

— **A jeżeli chodzi o pana śpiew to rozumiem, że pierwszy był musical?**

— Pierwsze były skrzypce, później wokalistyka jazzowa. W musicalu występowałem, gdy miałem 20 lat. Pierwszym, w jakim wystąpiłem, była „Miss Saigon”, potem były to „Grease”, „Koty”, „Evita”, „Jesus Christ Super Star”, „Taniec wampirów”, „Fame”, „Upiór w operze”, „Les Misérables”, „Deszczowa piosenka” i „Mamma mia”. Teraz gram w „Pilotach”.

— **Przypomnijmy, że to polski musical opowiadający o polskich lotnikach biorących udział w bitwie o Anglię.**

— Gram w nim rolę Stefana, jednego z czterech pilotów. Jest to opowieść o wojnie i miłości podana w lekki sposób. Są tam utwory nawiązujące do muzyki z lat 40. XX wieku oraz do muzyki współczesnej. Jednym się to podoba, innym nie. Najlepiej przyjść osobiście i posłuchać, albo kupić płytę i wyrobić sobie własne zdanie.

— **Przyznam, że chętnie zobaczyłabym „Pilotów”. Ostatnio polskich lotników widziałam chyba w brytyjskim filmie „Bitwa o Anglię”. Było to dość dawno.**

— Powstaje o nich film „Dywizjon 303” na motywach powieści Arkadego Fiedlera. Reżyserują go Denis Delić i Wiesław Saniewski, a grają m.in. Maciej Zakościelny i Piotr Adamczyk.

— **Występował pan też w Teatrze Wielkim, a teraz jest pan w obsadzie musicalu „Doktor Żywego” Lucy Simon, wystawionym w Białymstoku.**

— Śpiewam partię Strielnikowa, męża Lary.

— **Jak pan godzi te różne sposoby śpiewania?**

— W musicalu w dzisiejszych czasach dzięki technice nagłośnieniowej odchodzi się od wykorzystywania naturalnych rezonatorów, z których korzystają śpiewacy klasyczni. Oni prostu używają swego ciała jako naturalnego instrumentu. W musicalu bardzo często korzystamy z mikroportów czy mikrofonów zbiorczych. W 2008 roku grałem w musicalu „A Chorus Line”. W Ameryce miał premierę w 1975 roku i zmienił wówczas oblicze Broadwayu. Zatrudniono do niego tancerzy, którzy jednocześnie śpiewali i grali. Wtedy nie było jeszcze mikroportów i my w tym 2008 roku graliśmy w oryginalnej formie, bez jakiegokolwiek nagłośnienia. Wtedy moja technika klasyczna przydała się w pewnym stopniu. Musical jest formą dramatyczno-muzyczną, z naciskiem na dramatyczną. Słowo jest tu na pierwszym miejscu. W operze większe znaczenie ma dźwięk i jego nośność. Dlatego często przedstawieniom operowym towarzyszą napisy. W musicalu słowo nie może „ucieć”. Musimy wiedzieć, co czuje i co chce przekazać nam bohater. W doktoracie postaram się opisać problemy, z jakimi borykałem się sam i z jakimi borykają się śpiewacy szkoleni klasycznie, chcący wykonywać repertuar musicalowy zgodnie z wymogami estetycznymi jakie ten gatunek stawia przed wykonawcą.

— **Chyba trudno się tak przelać?**

— Trudno. Ale na szczęście trafiłem pod skrzydła prof. Włodzimierza Zalewskiego i profesor Maureen Scott, do której latałem kilka razy w roku do Londynu. Wylot o 6 rano o 12 lekcja i o 20 powrót.



Z żoną słuchamy śpiewu Andrei Boccelliego, na którego koncerty jeździmy dość często. Moja żona kocha muzykę, ale jest normalna. Skończyła administrację

— **To pokazuje, że za musicalowo-operową sławą stoi ciężka praca.**
— Jeżeli chcemy osiągnąć spełnienie w tym, co kochamy i jest to jeszcze naszą pasją, to tak. Trzeba się rozwijać cały czas. Dziękuję mojej żonie za wyrozumiałość, bo mnie po prostu nie ma w domu.

— **Pytanie, czy woli pan operę, czy musical jest takie samo jak pytanie, czy bardziej kocha pan mamę, czy tatę.**

— (śmiech) Myślę, że tak. To jest takie pytanie. Kocham ich oboje, tak jak kocham dobrą muzykę, niezależnie od tego czy jest to musical, opera, czy dobra muzyka rozrywkowa.

— **Ma pan swoich mistrzów?**

— Jeżeli chodzi o klasykę, uwielbiam Pavarottiego. Jego nagrań słucham bardzo często. Z żoną słuchamy śpiewu Andrei Boccelliego, na którego koncerty jeździmy dość często.

— **Czy pana żona ma coś wspólnego z muzyką?**

— Nie! Kocha muzykę, ale jest normalna (śmiech). Skończyła administrację.

— **Wróćmy do pana mistrzów.**

— Jeżeli chodzi o kompozytorów, to przez cały czas odkrywam Sondheim. To, co pozostawił, fascynuje mnie i chciałbym, żeby jego muzyka dotarła do jak największej liczby słuchaczy.

— **A czy Stephen Sondheim wie o pana staraniach? O koncertach i o Olsztynie?**

— Myślę, że nie. Ale w dzisiejszym świecie informacje szybko się roznoszą.

— **Czym pan tłumaczy tę fenomenalną popularność musicalu?**

Ludzie z całej Polski jadą do Warszawy czy Gdyni autokarami.

— Jeżeli chodzi o rozwój musicalu polska kultura tego gatunku jest opóźniona myślę o dwie, trzy dekady w stosunku do Zachodu. Teraz dopiero musical zaczyna się u nas rozwijać tak jak kiedyś na Broadwayu i West Endzie. Dobrze, że rozwijają się większe i mniejsze teatry, które zaczynają wypełniać swoje repertuary, repertuarem musicalowym. Nie jestem jednak zwolennikiem grania musicali w teatrach typowo dramatycznych.

— **Dlaczego?**

— Nie chodzi o grę aktorską, bo ona powinna być niezaprzeczalnie na pierwszym miejscu i tak jest, ale o połączenie umiejętności, które aktor musicalowy musi posiadać. Musi śpiewać, grać i tańczyć i wszystko to musi robić równie dobrze. Często wymaga się od niego gry na instrumentach. Jest wielu bardzo dobrych aktorów dramatycznych, którzy bardzo dobrze śpiewają, ale już nauka tańca wymaga od nich mnóstwo czasu i wysiłku. Choć nadrobienie tych umiejętności i połączenie ich w jednym czasie jest zawsze do wyćwiczenia. Cały czas się rozwijamy i to jest najpiękniejsze w tym zawodzie.

— **Mnie aktorzy musicalowi, którzy czasem są nie tylko tancerzami, ale wręcz akrobatami, wydają się fantastyczni. To chyba są tylko wybrańcy.**

— Są to ludzie, którzy wiedza, czego chcą od życia. Rozwijają się bardzo wszechstronnie. Bardzo cenię aktorów hollywoodzkich, którzy tak wiele potrafią, jak Hugh Jackman — Wolverine z serii „X-man”, czy Jake Gyllenhaal, znany przede wszystkim z filmu „Tajemnica Brokeback Mountain”. Teraz występuje w roli George’a w musicalu Sondheim „A Sunday in the Park with George”. A to świetny aktor dramatyczny.

— **Wpadnę panu w słowo. Przed nim kanonicznym George’em z tego musicalu był Mandy Patinkin, aktor znany m.in. z filmów takich „Yentl” i serialu „Homeland”. Nie miałam pojęcia, że jest on też śpiewakiem.**

— Amerykańscy aktorzy są „szeroko” prowadzeni od dziecka. Jest tam też ogromna konkurencja. I na casting nie zgłasza się 600 czy 800 osób, tylko 8 czy 10 tysięcy. W Polsce teatrów musicalowych jest już sporo. Ale wiele tytułów jeszcze nie gramy. Widzowi musical kojarzy się z przepychem, kostiumami i bogatą scenografią. Ale musical to nie tylko to. Musical to głównie teatr, teatr muzyczny, jaki uprawiał Sondheim.

— **Co poradziłby pan młodym ludziom, którzy chcą iść w ślady Marcina Wortmanna?**

— Na pewno potrzebna jest edukacja muzyczna, która daje niezaprzeczalne podstawy. Na pewno potrzebna jest zaciętość w dążeniu do celu, bez względu na trudności. Moja pani od skrzypiec Nina Minko, która kończyła konserwatorium w Moskwie, zasiała we mnie miłość do tego instrumentu. Ćwiczyłem po 8 godzin dziennie, chodząc poza tym do normalnej szkoły. Młodym ludziom życzyłbym wytrwałości. Mówię moim uczniom, że Beethoven, Mozart, Czajkowski czy Sondheim tworzyli w czasach bez telefonów komórkowych i gier. Zajmowali się tylko tym, co było dla nich najważniejsze, czerpiąc przy okazji z tego wiele przyjemności. Myślę, że w tym tkwi tajemnica ich wielkości — trzeba ich naśladować.

— **Jakie są pana marzenia?**

— Mam ich wiele. Ale bardzo chciałbym rozpropagować twórczość Sondheim w Polsce. Może dzięki mnie w większym stopniu zainteresują się nią dyrektorzy teatrów musicalowych i sal koncertowych.

Marcin Wortmann: — Aktor musicalowy musi śpiewać, grać i tańczyć i wszystko to musi robić równie dobrze. Często wymaga się od niego gry na instrumentach. Potrzebna jest zaciętość w dążeniu do celu, bez względu na trudności



TRZEBA MIEĆ MOC POCIŚKU, ŻEBY DAĆ RADĘ W TAŃCU KARAIBSKIM

\\ TAŃCZY, ODKĄD SKOŃCZYŁA PIĘĆ LAT. ROK TEMU PO DŁUGIEJ PRZERWIE WRÓCIŁA NA TURNIEJE. Z POWODZENIEM. TEGOROCZNA WICEMISTRZYNI POLSKI W CARIBBEAN DANCE POTRAFI DAĆ TEŻ SOBIE NIEZŁY WYCISK NA SIŁOWNI. Z ALEKSANDRĄ STAŃCO-KOZŁOWSKĄ Z OLSZTYNA ROZMAWIA AGNIESZKA POROWSKA Fot. Archiwum prywatne.

— Jesteś wicemistrzynią Polski w Caribbean Dance (w tańcu karaibskim — red.). Przyznasz, że brzmi to dość egzotycznie... Gdy mówiłam, że będę robić wywiad z wicemistrzynią Polski właśnie w tej dziedzinie, było kilka osób, którym skojarzyło się to nawet z karabinami.

— Aż tak groźnie nie jest (śmiech). Ale to prawda, żeby dać radę w Caribbean Dance, trzeba mieć w sobie moc jak pocisk. Dlatego, oprócz tego że wiele godzin w tygodniu spędzam na sali tanecznej, to drugie tyle spędzam na siłowni, gdzie trenuję z dość dużymi obciążeniami. Do tańca potrzebne jest silne ciało i, wbrew pozorom, trzeba mieć też trochę mięśni. Żeby być sprawnym na parkiecie, siłownia bardzo się przydaje — dla wzmocnienia, dla sylwetki. Gdyby nie taniec, być może wcale nie chodziłabym „wyciskać”.

— To czym są te Caribbean Dance? Dawno temu kilka lat trenowałam taniec towarzyski pod okiem Barbary Przemienieckiej, z którą ty na co dzień współpracujesz, i o takiej grupie tańców, nie było jeszcze wtedy mowy.

— Jeśli chodzi o taniec towarzyski, to zawsze wyróżniało się tańce latynoamerykańskie i standardowe. Potem dopiero pojawiły się tańce karaibskie takie jak salsa, kizomba, bachata i zouk. Jednak na turniejach nie było miejsca dla tańców karaibskich. Przez ostatnie lata popularność tych ostatnich mocno wzrosła. Pojawiły się piosenki, teledyski. Zrobił się na nie szal. Ludzie zaczęli je tańczyć nie tylko na treningowych salach tanecznych, ale również, a może przede wszystkim, na parkietach dyskotek. Organizatorzy turniejów postanowili iść z duchem czasu i zaczęli je wprowadzać do konkursów także jako tańce turniejowe.

— W tych tańcach nie masz partnera...

— Tańczę w dwóch kategoriach. Pierwsza to kategoria open latin freestyle i jest to mieszanka różnych tańców latynoamerykańskich, czyli tego, z czym moje taneczne serce było związane od zawsze i, jak sama nazwa wskazuje, są to zawody solo. Druga to tańce karaibskie, które na zawodach tańczę również zol. Ale „caribieny” oczywiście można też tańczyć w parze. Jest wiele opcji. Tańczę i trenuję również z wieloma znajomymi.

— Jak na nie trafiłaś?

— Taniec towarzyski zaczęłam trenować jako pięciolatka. I zawsze mocno ciągnęło mnie do łaciny. Zawsze kręciły mnie gorące rytmy. Obracając się w kręgach latynoamerykańskich, naturalną kolejną rzeczą było to, że gdzieś o tych Caribbean Dance prędzej czy później usłyszę. I pewnego dnia usłyszałam jakąś nutę, wpadającą w ucho pulsujący bit. Salsa, bachata to dość charakterystyczna muzyka, nie każdy taką lubi. Mi się spodobała. Potem przez „przypadek” instruktor, który był na jakichś warsztatach z tego gatunku, pokazał mi układy. Na początku wcale mnie nie zachwyciły. Ale z biegiem czasu zaczęło się pojawiać dużo festiwali, dużo kongresów tanecznych, na których jednym z głównych bohaterów stały się tańce karaibskie. To było jakieś cztery lata temu. Nie wiadomo kiedy potknęłam bakcyla. I nagle zostałam wicemistrzynią Polski (śmiech).

— Tegoroczne wicemistrzostwo Polski w Caribbean Dance to nie pierwszy twój taneczny sukces.

— W tamtym roku tańczyłam tylko w kategorii Open Latin Freestyle i to tam zdobyłam wicemistrzostwo. W tym roku po raz pierwszy pojawiło się Caribbean Dance i postanowiłam zatańczyć także i w tej kategorii

— wicemistrzostwo zdobyłam w obu kategoriach. Polski Związek Tańca Sportowego zadbał o to, by dostosować się do systemu międzynarodowego. Więc jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, w maju wybieram się na mistrzostwa świata do Chorwacji.

— W tamtym roku zdobyłaś wicemistrzostwo w tanecznych mistrzostwach Polski w Białobrzegach, w tym roku doceniono cię w Łodzi. Zauważyłaś jakieś różnice między tymi dwoma tanecznymi imprezami?

— W Łodzi tańczyłam w dwóch kategoriach, w Białobrzegach w jednej: tylko Open Latin, bo Caribbean jeszcze nie było. Białobrzegi były dla mnie bardziej stresującym przeżyciem, bo to był mój debiut po latach. Rok temu wróciłam na turnieje. Zaczęłam tańczyć jako dziecko i wtedy trochę startowałam. Potem miałam długą przerwę, w której bardziej skupiałam się na tym, aby uczyć innych i ćwiczyć solówki. Tańczyłam przede wszystkim dla siebie. Gdy kategorie, w których na co dzień się obracam, zrobiły się turniejowe, powiedziałam „wracam”. Nie sądziłam, że od razu z takim powodzeniem.

— Jak to jest ze strojami na występy? Skąd je bierzesz?

— Muszę sama o nie zadbać. Każdy mój strój to mój pomysł. Najpierw muszę bardzo dokładnie przemyśleć, czego chcę, projektuję go na kartce. Potem idę po materiały, cekiny i inne akcesoria do sklepu, a potem mąszuję do krawcowej, z którą precyzujemy szczegóły i robimy przymiarki. Wszystkie moje stroje są niepowtarzalne, szyte specjalnie na mnie.

— W twojej rodzinie byli zawodowi tancerze?

— Nie. Jako pierwsza z rodziny posłam w zawodową stronę. Moi bliscy na szczęście nie mają sztywnych nóg i lubią się ruszać, bawić i tańczyć, ale do profesjonalizmu im daleko (śmiech). Niemniej w Polskie Towarzystwo Taneczne okręgu warmińsko-mazurskiego robi wszystko, by odbudować markę Olsztyna na tanecznej mapie świata. Organizujemy turnieje dla dzieci, młodzieży, ale również dla osób starszych, które swoją przygodę z tańcem zaczęły już jako dorośli. Bardzo nam zależy na tym, by się przełamali. Na całym świecie seniorzy stanowią mocną grupę tańczących.

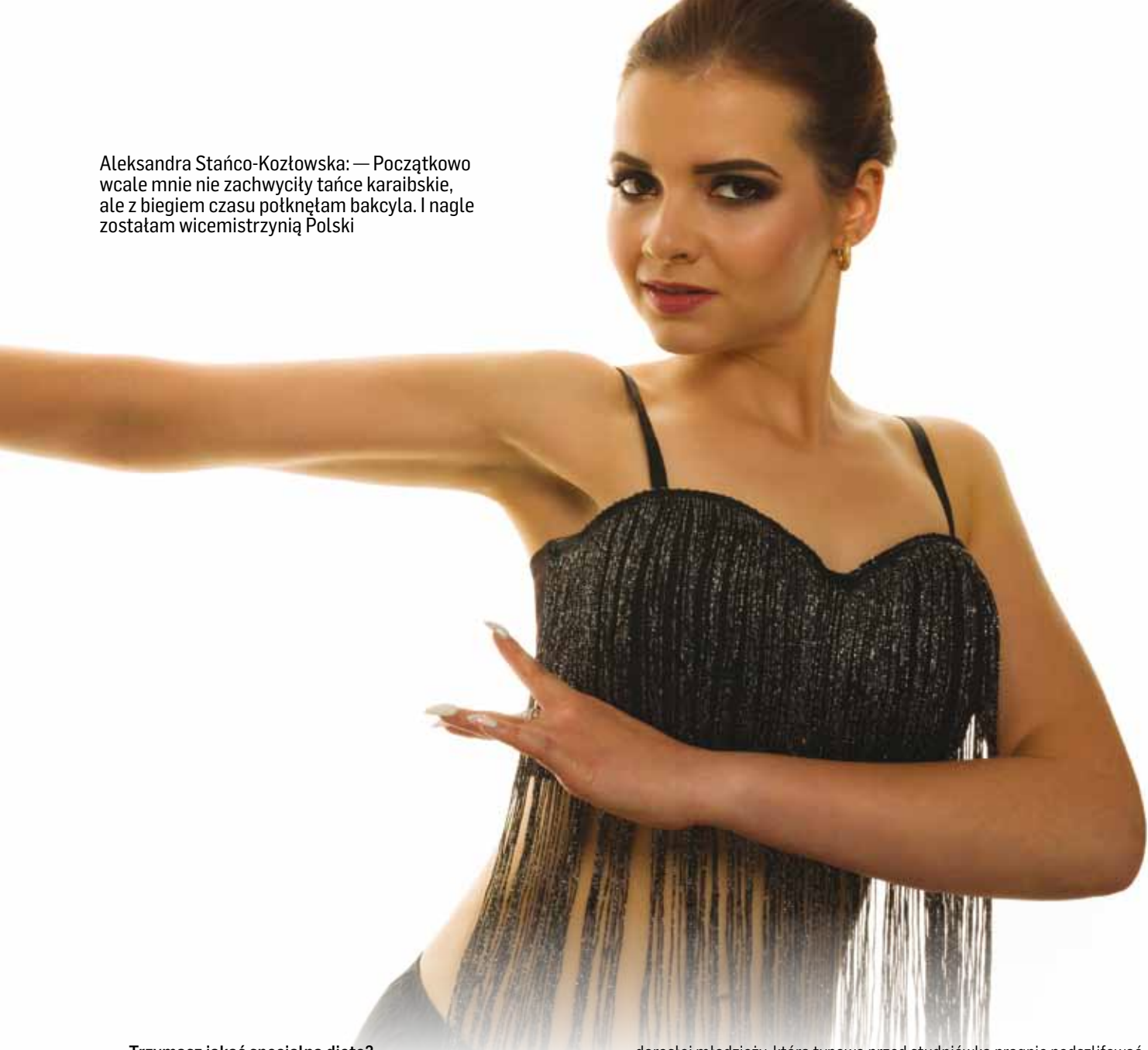
— U nas wciąż pokutuje przekonanie, że jak ktoś nie zaczął za młodu, to potem już na pewno nie nauczy się tańczyć. Sporo seniorów za to biega...

— Może bieganie wydaje się im łatwiejsze? Z treningu na trening musisz pracować głównie nad kondycją i taktyką. Na taniec składa się wiele innych elementów takich jak płynność ruchów, elastyczność, poczucie rytmu. Od tądnych kilku lat obserwuję swoich kursantów i wiem, że na naukę tańca nigdy nie jest za późno. Oczywiście na początku takie ciało jest mniej elastyczne niż ciało dziecka, ale wszystko jest kwestią czasu i chęci. Nie było takiej osoby, która by się nie nauczyła.

— Chodzisz czasem na imprezy w mieście, żeby potańczyć tylko tak dla relaksu czy skupiasz się tylko na ćwiczeniu w studiu tańca?

— Potrafię iść na zwykłą imprezę i staram się tam nikogo nie obserwować i nie oceniać. Czasem jednak przyglądam się tańczącym ludziom, to silniejsze ode mnie. Zawsze rozpoznam, że ktoś odbył jakiś kurs. To jest kwestia samej postawy, jaką przybiera się na parkiecie oraz tego jak partner prowadzi partnerkę. Samouki często lubią „zarzucić” partnerką lub wręcz odwrotnie — są zbyt zachowawczy.

Aleksandra Stańco-Kozłowska: — Początkowo wcale mnie nie zachwyciły tańce karaibskie, ale z biegiem czasu połknęłam bakcyła. I nagle zostałam wicemistrzynią Polski



— **Trzymasz jakąś specjalną dietę?**

— Czy się tańczy, czy się ćwiczy, czy też nic się nie robi — jeśli zależy nam na sile i na tym, aby super wyglądać, to zawsze trzeba na dietę uważać i jej pilnować. Nie chcę przez to powiedzieć, że się jakoś specjalnie ograniczam, ale owszem — zwracam uwagę na to, co jem. Zależy mi, aby były zachowane wszystkie proporcje potrzebne do życia i do tego, co spalę. Korzystam z porad zaprzyjaźnionej trenerki fitness i dietetyka jednocześnie i, w zależności od tego, na czym mi w danej chwili zależy, redukuję, masuję lub rzeźbię. Zależy mi na moim zdrowiu, więc staram się zdrowo odżywiać. Zwłaszcza kiedy z każdej strony jesteśmy atakowani „śmiciowym” jedzeniem albo z braku czasu nie jadamy regularnie. Zależy mi też na tych bardziej przyziemnych sprawach, czyli na wyglądzie (śmiech). Może to jest moje „zboczenie” zawodowe, ale nie ma się co oszukiwać, tancerz powinien wyglądać pięknie, elegancko, bo jego ciało to też wizytówka. Już na wstępie musi zrobić „wow”.

— **Jesteś też instruktorem w szkole tańca. Uczysz dzieci?**

— Uczyłam, ale teraz skupiłam się na pracy z dorosłymi, która zdecydowanie bardziej mi odpowiada. To moje powołanie. Lubię dzieci, ale wolę tworzyć z kursantami raczej taką przyjacielską relację. Dorosli są bardziej zdyscyplinowani, wiedzą, czego chcą. Lubię mieć z nimi kontakt koleżeński, dla dzieci muszę być wymagającą „panią”. Średnio dobrze czuje się w tej roli.

— **Kim są twoi kursanci?**

— To bardzo różni ludzie. Wielu z nich to ludzie, którzy nigdy w życiu nie tańczyli, a teraz w wieku 30, 40 lub 50 lat mają trochę więcej czasu niż kiedyś i chcą nadrobić braki. Mówią, że zawsze o tym marzyli. Czasem dość przypadkowo trafiają do nas ludzie, którzy szukają jakiegokolwiek aktywności i, nie wyobrażając sobie siebie na siłowni, wybierają coś subtelniejszego czyli taniec. Inni to osoby, które „naturalnie” zaraziłam. Jest też sporo

dorostej młodzieży, która typowo przed studniówką pragnie podszlifować umiejętności, choćby po to, by komuś zaimponować.

— **Siłownia, taniec, czyli twoje własne turnieje oraz prowadzenie grup, gdzie jesteś instruktorką, praca w dziale promocji i reklamy. Jak ty to wszystko godzisz?**

— Wychodzę z pracy o 15 i przecież druga część dnia wciąż jeszcze przede mną! Najważniejsze to mieć wszędzie blisko. Dlatego siłownię i szkołę tańca mam na jednej ulicy. Wychodzę z jednego miejsca i za trzy minuty jestem w drugim. Kluczem do wszystkiego jest dobra organizacja, nie warto tracić czasu na dojazdy. Z resztą od małego przyzwyczajona byłam, że nie było dnia bez treningu.

— **Jutro sylwester. Może, na przekór wszystkiemu, w takie dni nareszcie odpoczywasz od tańca?**

— Nic z tych rzeczy. Tanecznie będzie już od dzisiaj! W zaprzyjaźnionym hotelu przez dwa dni będę prowadzić przedsylwestrowe zajęcia dla wszystkich gości. A wieczorem wybieram się na domówkę u znajomych. Domówka oczywiście z tańcami, bo, na szczęście, znajomi mają duży salon. Nie wyobrażam sobie życia, a tym bardziej sylwestra bez tańca.

/// **Aleksandra Stańco-Kozłowska** : ma 28 lat, mieszka w Olsztynie. Aktualna wicemistrzyni Polski w Caribbean Dance oraz w Open Latin Freestyle. Tańczy od 5 roku życia, od 10 lat jest instruktorką tańca towarzyskiego. Gdy nie tańczy, ćwiczy na siłowni.

JESTEM TAM, GDZIE CHCĘ, PRACUJĘ I MAM ZAWSZE DOBRA POGODĘ

\\ ZAKOCHAŁ SIĘ W TYM STYLU ŻYCIA. PRACUJE W DOWOLNYCH MIEJSCACH NA ZIEMI. CHOĆ BAŁ SIĘ PORĄŻKI, TERAZ WRESZCIE CZUJE SIĘ WOLNY, WYKORZYSTUJE NOWOCZESNE TECHNOLOGIE I BUDUJE SWÓJ STYL. Z TOMASZEM MACIEJEWSKIM, CYFROWYM NOMADĄ, ROZMAWIA KAROLINA ŚLIZ

Fot. archiwum prywatne, Wojciech Caruk

— Jesteś cyfrowym nomadą. Mógłbyś wyjaśnić, co to znaczy?

— Pracuję, wykorzystując możliwości internetu. To pozwala mi na wykonywanie zleceń z dowolnego miejsca, gdzie jest dostęp do sieci. Dzięki temu mogę zarabiać w droższej walucie, a mieszkać w miejscu, gdzie koszt życia jest znacznie mniejszy, na przykład w Tajlandii czy w Kolumbii. To właśnie jest cyfrowy nomadizm.

— Czym dokładnie się zajmujesz?

— Przygotowuję strategie marketingowe i je wdrażam, zajmuję się pisaniem, czyli content marketingiem, tworzeniem reklam na Facebooku. Każdy, kto chce zostać cyfrowym nomadą, musi umieć zarabiać przez internet. Jeżeli ktoś ma jakiś kapitał, może otworzyć sklep internetowy albo zbudować biznes polegający na zlecaniu pracy innym osobom. Trzeba być kreatywnym i po prostu wziąć się do roboty. Warto też mieć jakieś oszczędności w razie słabszych miesięcy.

— Dlaczego zdecydowałeś się zostać cyfrowym nomadą?

— Zjawisko pracy zdalnej i życia gdziekolwiek fascynowało mnie od 2010 roku. Wyobrażałem sobie, że mógłbym uciekać przed polskimi zimą i jednocześnie pracować. Doszedłem do wniosku, że nie muszę być bardzo bogatym człowiekiem i pracować wiele lat, żeby zrobić to w dość łatwy sposób. Postawiłem sobie za cel, żeby zrobić to przed moimi trzydziestymi urodzinami. Już 29 rok życia witałem na plaży w Tajlandii.

— Był jakiś bezpośredni impuls?

— Tak. Zrezygnowałem z pracy. Stało się to w momencie, kiedy złamałem rękę, a mój pracodawca zaproponował, żebym zdrową ręką pracował przy komputerze. Wtedy zdecydowałem, że jadę. Miałem tylko dwa tysiące złotych oszczędności, ale wierzyłem, że wszystko będzie w porządku. Dokładnie 8 listopada 2015 roku poleciałem po raz pierwszy do Tajlandii. Pierwsze dwa dni nocowałem u znajomego, który na stałe mieszka w Bangkoku.

— Pojechałeś z dwoma tysiącami złotych w kieszeni. Co było dalej?

— Pojechałem i byłem tam przez cztery miesiące. Dużo się działo w tym czasie. Najpierw byłem wolontariuszem na wyspie Koh Phangan, później w hostelu na północy Tajlandii. Dzięki temu dostawałem nocleg w zamian za różną pomoc np. zrobienie strony internetowej czy optymalizację kanału na YouTube. Miałem też szczęście poznawać wspaniałych ludzi we właściwym czasie. Między innymi podczas wigilii którą spędzałem z Polakami w Bangkoku, spotkałem człowieka, który był pod wrażeniem mojego bloga i zaproponował mi pracę.

Moim zadaniem było pisanie artykułów na jego potrzeby. Potem posyłały się kolejne zlecenia. W ubiegłym roku spędziłem w Tajlandii pięć

miesięcy — od listopada do kwietnia. Później była Portugalia, a miesiąc temu wróciłem z Kolumbii.

— Pamiętasz, czego najbardziej bałeś się na samym początku?

— Bardzo bałem się porażki i o swoje zdrowie. Kiedy pierwszy raz jedzie się do zupełnie innego kraju, gdzie latają komary, a po ulicy biegają bezpańskie psy, to pojawia się obawa, czy aby na pewno nic się nie stanie. Znam Polaków, którzy w Tajlandii mieszkają od dwudziestu lat i na nic się nie szczepili. Trzeba znaleźć balans — być rozsądnym, ale nie hipochondrykiem.

— Jak wygląda twój rytm dnia cyfrowego nomady?

— Dużo zależy od charakteru pracy konkretnego nomady. W inny sposób będzie pracował właściciel sklepu internetowego, a inaczej programista pracujący na etacie, który może wykonywać swoją pracę zdalnie. U mnie wygląda to tak, że w aplikacji Nozbe tworzę listę zadań, a następnie je realizuję.

Dużo jednak zależy od konkretnego projektu, nad którym obecnie pracuję.

— Szacuje się, że do 2035 roku na świecie będzie miliard cyfrowych nomadów. Myślisz, że jest to możliwe?

— Myślę, że tak, tylko, że nie do końca będzie się to definiowało tak jak dzisiaj. Obecnie nomadizm jest traktowany jako rodzaj hipsterki. Moim zdaniem nie będzie polegało to na tym, żeby cały czas jeździć po świecie. A raczej na tym, żeby być tam, gdzie się chce i zarabiać niezłe pieniądze. W tym sensie będziemy odchodzić od pracy biurowej.

— Czego nauczył cię ten styl życia?

— Przede wszystkim nauczyłem się, że na świecie nie są najważniejsze czynniki zewnętrzne, tylko to, ile pracy jesteśmy w stanie włożyć i jak bardzo się na tym skupić. Znam ludzi, którzy w kilkanaście miesięcy inten-

sywnej nauki zdobywali umiejętności pozwalające na zarabianie kilkudziesięciu funtów tysięcy jako programista. Możemy mieć wiele kłód na swojej drodze i jednocześnie stać się tak dobrymi, że nic nas nie zatrzyma. Cała potrzebna wiedza jest w internecie za darmo. Taki styl życia potrafi pomóc też w innych kwestiach. Mi dał kontakty i możliwości współpracy z osobami na dużo wyższym poziomie niż przed wyjazdem. Jeżeli właściciel firmy deweloperskiej z Warszawy może porozmawiać ze mną o Bangkoku, to jest to trochę inna relacja niż kiedy przyszedłbym z drżącymi rękami z CV i pytaniem o jakąkolwiek pracę.

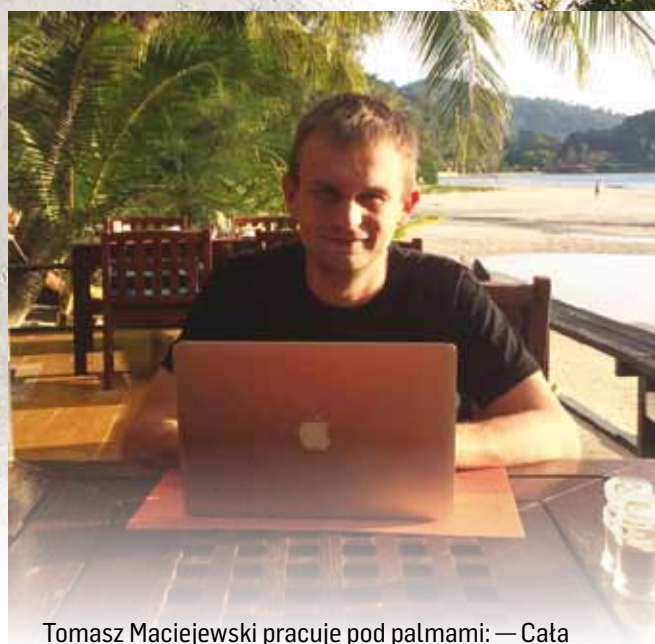
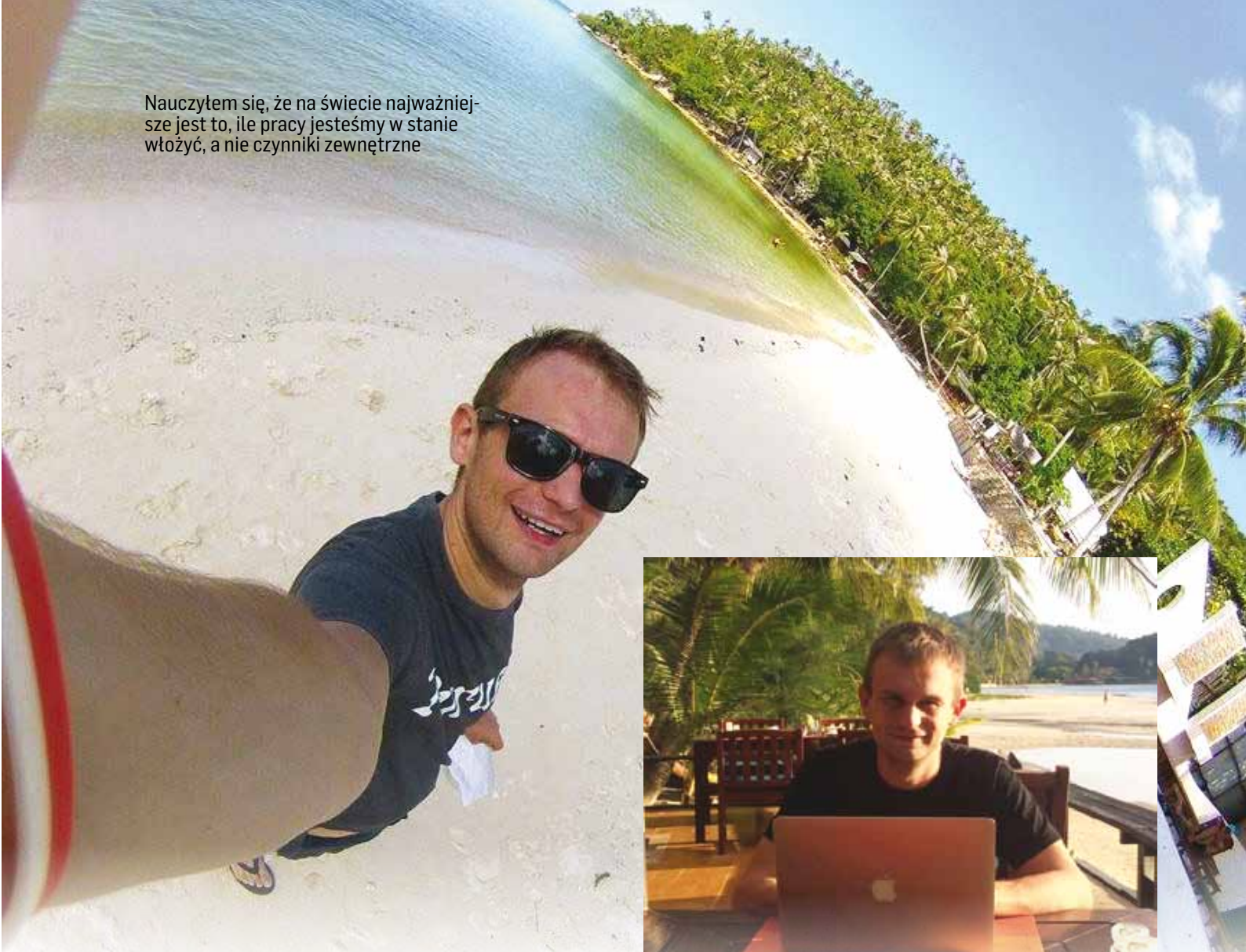
— Orientujesz się, ilu jest cyfrowych nomadów z Polski?

— W Polsce ten styl życia rozwija się dość szybko. Trudno oszacować, ile może być takich osób. Na mojej grupie na Facebooku "Polish digital nomads" jest 835 członków, ale większość z nich dopiero chce zacząć tak żyć. Wielu faktycznych nomadów żyje po swojemu i nie afiszuje się z tym.



Zrezygnowałem z pracy. Stało się to w momencie, kiedy złamałem rękę, a mój pracodawca zaproponował, żebym zdrową ręką pracował przy komputerze. Wtedy zdecydowałem, że jadę. Miałem tylko dwa tysiące zł oszczędności, ale wierzyłem, że wszystko będzie w porządku. 8 listopada 2015 roku poleciałem po raz pierwszy do Tajlandii.

Nauczyłem się, że na świecie najważniejsze jest to, ile pracy jesteśmy w stanie włożyć, a nie czynniki zewnętrzne



Tomasz Maciejewski pracuje pod palmami: — Cała potrzebna wiedza jest w internecie za darmo

— **Myślisz, że cyfrowy nomadyzm to jest styl życia tylko dla młodych singli?**

— Jest to możliwe w parach i w rodzinach. Miałem okazję poznać rodzinę, która ma szóstkę dzieci i cały czas podróżują. To wszystko jest kwestią determinacji i kreatywności. Jeżeli chodzi o wiek, to nie kojarzę nikogo powyżej czterdziestki. Myślę, że na tym etapie w życiu człowiek ceni sobie jedno miejsce i wyjeżdżać chce tylko na wakacje.

— **Dlaczego Tajlandia i Kolumbia są tak popularne wśród cyfrowych nomadów?**

— Egzotyka, bezpieczeństwo i dobra pogoda. W tym roku pierwszy raz długie spodnie założyłem pod koniec kwietnia, kiedy wracałem do Polski. Tajlandia jest dosyć rozwinięta cywilizacyjnie, a przy tym tania. Wystarczą trzy tysiące złotych, żeby żyć w Bangkoku na całkiem fajnym poziomie. Już za kwotę poniżej tysiąca złotych można samodzielnie wynająć mieszkanie w nowym budynku. W Warszawie czy Poznaniu to jest raczej niewyobrażalne. Można spotkać tam wiele osób żyjących w ten sposób, co powoduje, że powstaje odpowiednia infrastruktura, np. coworking, a w kawiarni nikt się nie dziwi, że codziennie siedzimy z komputerem. Kolumbia nie jest tak bardzo bezpieczna, kuchnia nie jest aż tak dobra i nie jest aż tak bardzo tania. Za to ludzie są bardziej otwarci i język dużo łatwiejszy.

— **A inne kierunki atrakcyjne dla cyfrowych nomadów?**

— W Europie Zachodniej nie zawsze opłaca się finansowo. Jeżeli możemy żyć gdziekolwiek, to po co wydawać na życie w Londynie? Portugalia jest ciekawym kierunkiem. Pogoda lepsza, dobry klimat i ciekawi ludzie. Lwów — tam jest odpowiednia infrastruktura i dla nas bardzo tania. Oprócz tego południe Europy: Malta, Cypr, Grecja, Budapeszt. Polska też jest celem dla

nomadów z zagranicy. Przyjeżdżają głównie do Warszawy i do Krakowa. Dla nich wciąż jesteśmy egzotyką, jadą więc do tych dwóch miejsc najbardziej znanych. Cieszę się, gdy jestem na jakimś spotkaniu nomadów za granicą i ktoś mówi, że Polska jest bardzo nowoczesnym krajem, rozwijającym się, z szybkim internetem, wspaniałymi ludźmi i dobrymi cenami.

— **Czy ten styl życia to jest wybór na zawsze?**

— W moim przypadku nie. Dla mnie to jest etap w życiu, gdzie trzeba maksymalnie, jak się da, robić to, na co ma się ochotę i nie szkodzić innym ludziom. Nomadyzm jest dla mnie wyborem do jakiegoś okresu czasu. Później gdzieś osiedzę, żeby budować swoje gniazdo rodzinne. Bo taka nieustanna zmiana miejsca po jakimś czasie męczy.

/// **Tomasz Maciejewski:** ma 31 lat i od dwóch lat jest cyfrowym nomadą. Wcześniej zwiedził autostopem Europę Zachodnią, Azerbejdżan, Gruzję i Turcję. Jest współorganizatorem i pomysłodawcą pierwszej w Polsce konferencji poświęconej tzw. cyfrowym nomadom pt. „Tam, gdzie chcę”. Na Facebooku prowadzi grupę Polish digital nomads. Swoimi doświadczeniami dzieli się na blogu tomekmaciejewski.pl. Pochodzi z Poznania. Jest magistrem administracji na Uniwersytecie Adama Mickiewicza, ale nigdy nie pracował w zawodzie. Wcześniej pracował w branży gadżetów reklamowych.

JEDEN JEDYNY RAZ ZDRADZIŁAM MOJE MAZURY Z JAPONIĄ



\\ KRAINA WIELKICH JEZIOR TO DLA NIEJ CUD. TWIERDZI, ŻE OD WIDOKU JEZIOR I LASÓW PIĘKNIEJSZA JEST TYLKO UBRANA NA WIGILIĘ CHOINKĄ. TO TEŻ ZJAWISKO, ALE SWÓJ CZAR MA TYLKO PRZESZ KILKA DNI. A PRZEWAGĄ JEZIOR JEST TO, ŻE SĄ PIĘKNE PRZESZ CAŁY ROK. NAWET, GDY SĄ SKUTE ŁODEM. Z WANDĄ KWIETNIEWSKĄ, WOKALISTKĄ, ROZMAWIA ADA ROMANOWSKA. Fot. archiwum

— **Pani Wanda jest jak wandal!**

— Taka się urodziłam. Zgadza się, bardzo spokojna z natury rzeczy nie jestem. Zawsze byłam szybka i energiczna. Kochałam sport i może dzięki temu mam w sobie tyle siły. Trenowałam sporty różnego rodzaju, często ekstremalnie. Ale nie są to jakieś uduchowione dyscypliny. Po prostu lubię się ekstremalnie zmęczyć, tak na maksa. Ale mimo tego, że jestem taka szybka, jestem bardzo zrównoważona. Absolutnie nie jestem znerwicowana!

— **Imię też ma w sobie siłę.**

— Dostałam je po swojej babci i nigdy nie byłam z niego zadowolona. Babcią była dosyć postawna i była prawdziwą Wandą. To był herod, nie kobieta, w tańcu się nie opierała — jak mówią. Ale nie znaczy to, że była złą kobietą. Na pierwszy rzut oka była mocarna, ale była najukochańszą kobietą na świecie. Bardzo ją kochałam, ale i ona też mnie bardzo kochała. Czułam tę miłość.

Ale niestety swojego imienia nie tolerowałam, z pełnym szacunkiem dla babci, której to imię pasowało. Nikt obok mnie nie miał tak na imię. Byłam mała, nie poszukiwałam oryginalności. Chciałam być jak wszyscy. W moim pokoleniu dziewczynkom nadawano ładniejsze imiona. Były Anie, Grażynki, Kasie, Ewy, Małgosie... Małgorzata mam akurat na drugie, ale co z tego. Dla wszystkich byłam Wandą.

Przez całe przedszkole i podstawówkę mówiono do mnie Wandzia, czego nienawidzę do dzisiaj. Wszystko inne mi pasuje, ale tej jednej jedynej Wandzi znieść nie mogę.

Niestety to najpopularniejsze zdrobnienie. Ludzie mówią tak z sympatii i ja to rozumiem, ale nie mogę sobie tego przetłumaczyć. Przez lata byłam więc niezadowolona z imienia. Stało się przydatne dopiero w chwili, gdy powstał zespół Wanda i Banda. Przynajmniej do czegoś się przydało.

— **Przynajmniej się rymuje.**

— Ale nie popadłam w zachwyt, bo później, żeby było mało moich dąsów, miałam wątpliwości co do nazwy. Pamiętam, jak kilka lat temu rozmawiałam ze swoim przyjacielem Markiem Raduli, muzykiem, który grał ze mną w pierwszym składzie. Potem związał się z innymi zespołami, między innymi z Budką Suflera. Mówię mu, że co to za nazwa ta Wanda i Banda. Przecież to jakieś kretynstwo! A on się uśmiechnął i powiedział: „Wandula, a Budka Suflera to dobra nazwa?” Miał, chłopak, rację. Przestałam się zastanawiać, czy nazwa pasuje. W sumie jak grupa się wylansuje, to nazwa przestaje razić. Nie doszukuje się żadnej filozofii czy znaczeń.

— **Wanda i Banda mówi jedno. Wanda jest frontmanką, a chłopaki jej przygrywiają.**

— Coś w tym jest. Nazwa jest prosta i działa. Ale z tą frontmenką to rzeczywiście prawda. Byłam i właściwie cały czas jestem pierwszą kobietą, która założyła zespół rockowy w Polsce.

W tym roku cieszę się, że mija nam 35 lat. W czerwcu wystąpimy w Opolu, będzie można się nam przyjrzeć. Co jak co, ale hit „Hi fi” jest cały czas na topie i ludzie cały czas chcą go słuchać. Cieszy mnie to i dumna jestem! Jako ta jedyna liderką i założycielką grupy rockowej w Polsce. (Śmiech)

To jedyny taki przypadek, bo ani Kora, ani Małgosia Ostrowska nie mogą się tym pochwalić. To są „tylko” wokalistki.

— **Czyli jest pani szefową.**

— Zawsze byłam i cały czas jestem. A w moim przypadku od 35 lat ciągnę ten wózek i bardzo się z tego cieszę.

— **Nie widać tych lat po pani.**

— Nie wiem, dlaczego tak wyglądam. Ludzie mówią mi, że bardzo dobrze. Ja nie jestem specjalnie z siebie zadowolona, ale wiem, że mogłabym wyglądać gorzej. Jak patrzę w lustro, nie mówię: „O Jezu”. Pogodzona jestem ze sobą i z tym, że czas upływa.

Byłam już młoda, teraz inni ludzie są młodzi. Tak jest urządzony świat, nie będę się kłóciła z tym porządkiem, bo i tak nie wygram. Jest to zrozumiałe. Dopóki dopisuje mi zdrowie, a jak na razie nie tamie mnie w kościach, jestem zadowolona.

Mogę robić wszystko, na co mam ochotę. Może nie w takim wymiarze, jak kiedyś, bo już nie mogę uprawiać ekstremalnie sportów. Ale cały czas się ruszam. Jeżdżę na nartach wodnych, śniegowych, pływam, gram w siatkówkę i ping-ponga. To są moje ulubione sporty.

— **Narty wodne to pewnie tylko na Mazurach.**

— Oczywiście! Przecież ja kobieta z Warmii i Mazur jestem! I mogę powiedzieć, że cudze chwalicie i swego nie znacie. Kraina Wielkich Jezior to cud! Jeździłam po świecie i wiem, co mówię.

Od widoku jezior i lasów piękniejsza jest tylko ubrana na wigilię choinka. To też zjawisko, ale swój czar ma tylko przez kilka dni. A przewagą jezior jest to, że są piękne przez cały rok. Nawet, gdy są skute lodem. Nie jestem jedyną osobą, która tak mówi. Ja jestem jednak stąd i wiem, co mówię. Dlatego każde wakacje przez całe życie spędzam właśnie tu. Raz tylko mi się nie udało.

— **Gdzie pani wyjechała?**

— Trafił mi się półroczny kontrakt w Japonii w 1989 roku. Tam było pięknie, bo poznawałam ludzi, zarabiałam pieniądze i było tak, jak powinno być. No i co z tego, że spałam w świetnych hotelach i jadłam niesamowite dania? Moim największym zmartwieniem było to, że kontrakt przypadł w czasie, kiedy mogłabym pojechać na Mazury. Od czerwca do grudnia tam byłam. I to był jedyny rok, kiedy zdradziłam Mazury z Japonią!

— **Ale ludzie pewnie zazdrościli pani tej Japonii.**

— Wszyscy, to prawda. A ja siedziałam tam i tęskniłam za jeziorami. Brakowało mi strasznie tej przyrody. Zwariowałam? Pewnie tak, na punkcie naszych jezior. Jak już się kocha, to na zawsze. Tę rozłąkę przeżyłam strasznie.

— **A co pani robi na Mazurach? Leży plackiem na plaży?**

— Nigdy w życiu! Nie potrafię w ogóle leżeć. Jestem człowiekiem, który cały czas musi coś robić. Taki wandal ze mnie, rzeczywiście. Zawsze pływam, ale jestem też ogromną grzybiarą i wędkuję.

To, co robię, zależy od pogody. Gdy pada, gram na przykład w brydża, więc mam ludzi wokół siebie. A jak są ludzie, to są też rozmowy. A gdy przestaje padać, robi się ognisko, grilluje kiełbasy i gra na gitarach. Gotuję też gary zupy, bo przecież w naszym gronie są dzieci, a nie mogą przecież chodzić głodne. A jak są dzieci, to i buduje się zamki z piasku i szalasy.

Miliony rzeczy można robić. Grać w podchody, w duchy... Na cholerę leżeć! Przecież to nuda. Czasami leżałam, bo jak wypłynęliśmy łódką na środek jeziora, to co innego miałam robić? Słońce grzało, więc między kąpielami trzeba było trochę poleżeć.

— **I czasem trochę powędkować.**

— Nie mam wielkich osiągnięć w tym temacie. Mam kilka dość dużych leszczy na swoim koncie, tyle.

— **Niech mi pani wytłumaczy, co fajnego jest w wędkowaniu?**

— Jak ryby biorą, to jest świetnie. Ale nie rozumiem, że ludzie siedzą, gdy nie biorą. Ja zazwyczaj na ryby jeżdżę z moim partnerem Andrzejem, który

jest absolutnym wędkarzem. On zarzuca zawsze dwie, może nawet i trzy wędki. Ja zaczynam z nim łowić. Jeśli biorą, zostaje, a jeśli nie, odkładam wędkę, biorę książkę i czekam aż ryby zaczną brać.

— **Można zażartować, że i pani w końcu została grubą rybą. Otrzymała pani statuetkę Kobiety Sukcesu Warmii i Mazur 2018.**

— Cieszę się, że w końcu Warmia i Mazury mnie zauważyły. Że w końcu wśród kobiet, które coś osiągnęły, znalazłam się i ja. Bardzo mi to pochlebia. Przecież ja jestem stąd! Jestem elblążanką! Czuję się więc tu jak ryba w wodzie. Dostojnie!

Mimo wszystko tęsknię, żeby zagrać tutaj koncert. Proszę sobie wyobrazić, że koncertowo nie było nas na Warmii i Mazurach od wielu, wielu lat. Teraz, jak już jestem Kobiętą Sukcesu Warmii i Mazur, mam nadzieję, że to się zmieni. Mam też nadzieję, że ktoś nas zaprosi, na przykład na Dni Olsztyna. Jestem za!

— **A sukces dla pani to...?**

— To wszystko, o czym tylko pomyślę. Odniosłam sukces jako szefowa zespołu, jako matka, a nawet jako kobieta przesiadująca przy wędce. Te kilka leszczy przecież wpadło w moje ręce... Każdy dzień to sukces!



Ludzie mówią mi, że bardzo dobrze wyglądam. Ja nie jestem specjalnie z siebie zadowolona, ale wiem, że mogłabym wyglądać gorzej. Jak patrzę w lustro, nie mówię: „O, Jezu”.



Wanda Małgorzata Kwietniewska: urodziła się w 1957 w Przywidzu, wokalistka zespołu Wanda i Banda. Od dzieciństwa mieszkała w Elblągu, gdzie jeszcze w szkole średniej stawiała pierwsze kroki jako artystka. Po maturze rozpoczęła naukę na Wydziale Piosenkarskim w Studium Sztuki Estradowe, działającym przy Estradzie Poznańskiej.

W roku 1979 w Poznaniu wspólnie ze słuchaczami tamtejszego Studium Sztuki Estradowej utworzyła grupę wokalną Vist w składzie: Bożena Krata, Wanda Kwietniewska, Małgorzata Ostrowska, Mira Roszkiewicz, Andrzej Sobolewski, Grzegorz Stróziński. W roku 1981 zespół przekształcił się w grupę Skandal, a następnie w Lombard. Z tym zespołem Kwietniewska nagrała dwa albumy: „Śmierć dyskotece!” oraz z okazji jubileuszu 10-lecia istnienia zespołu „81–’91 Największe przeboje”.

Po odejściu z Lombardu we wrześniu 1982, już w listopadzie tego samego roku wokalistka założyła nowy zespół — Banda i Wanda. Była nie tylko wokalistką grupy, ale także kompozytorką. Debiutancki album, zatytułowany „Banda i Wanda” został wydany w 1984 roku. Zawierał takie przeboje jak „Hi-Fi” czy „Nie będę Julią”. Rok później ukazała się płyta „Mamy czas”, a zespół nagrał 9 piosenek do popularnego serialu „Siedem życzeń”.

W 1986 roku Kwietniewska rozwiązała zespół i pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku rozpoczęła solową karierę. W 1990 roku na rynku pojawił się jej debiutancki album „Własna California”. W 1993 roku wydała album „Same szaty, jeden wolny”, który był kompilacją jej solowych nagrań oraz utworów Bandy i Wandy. Wtedy też zespół wznowił działalność, jednak po dwóch latach muzycy ponownie zakończyli współpracę.

W 1996 roku urodziła córkę Karinę. W roku 2000 zespół Banda i Wanda ponownie się reaktywował i od tego czasu regularnie nagrywa nowe utwory. W październiku 2011 roku wspólnie z Norbim nagrała piosenkę „Walczy my dla Was”, wspierającą reprezentację Polski w siatkówce mężczyzn.



LIDZBARK WARMIŃSKI 710 LAT – 1308-2018



FESTIWAL BIEGOWY IM. MIKOŁAJA KOPERNIKA W LIDZBARKU WARMIŃSKIM

Już 15 kwietnia wystartuje Festiwal Biegowy im. Mikołaja Kopernika w Lidzbarku Warmińskim

Druga edycja Biegu im. Mikołaja Kopernika w Lidzbarku Warmińskim została rozwinęta o dodatkowy bieg na dystansie 5 km, na trasie atestowanej przez Polski Związek Lekkiej Atletyki, stąd zmiana nazwy na Festiwal Biegowy. W tym roku na biegaczy z całej Polski czekają biegi na 5 i 10 km oraz krótkie dystanse dla dzieci w kategoriach 5-8 lat oraz 9-13 lat (od 300 do 500 metrów).

Aktualnie trwają zapisy internetowe na stronie cyklu biegów BiegajMY z DEM'a – www.biegajmyzdem.pl. Na portalu znajdziecie filmy oraz linki do galerii z poprzedniej edycji, a także z innych wydarzeń biegowych.



VIII OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL SERÓW FARMERSKICH I TRADYCYJNYCH CZAS NA SER

2-3 czerwca po raz ósmy amatorzy tradycyjnych serów spotkają się w Lidzbarku Warmińskim na przedzamczu i dziedzińcu Hotelu KRASICKI na VIII Ogólnopolskim Festiwalu Serów Farmerskich i Tradycyjnych.

Festiwal „Czas na Ser” to jedyna w Polsce impreza służąca odbudowie i rozwojowi tradycji serowarskiej oraz przywróceniu zapomnianych smaków. To miejsce spotkań, wzajemnej edukacji

Lidzbark Warmiński to jedno z najstarszych i najciekawszych pod względem historycznym miast regionu warmińsko-mazurskiego. Nazywany jest „Perłą Warmii”. Najstarsze wzmianki o mieście pochodzą z pierwszej połowy XIII wieku. W 1308 roku Lidzbark Warmiński otrzymał prawa miejskie i do 1772 był siedzibą biskupów warmińskich, centrum politycznym i kulturalnym. Wśród biskupów warmińskich rezydujących w Lidzbarku znalazły się wybitne osobistości świata nauki, sztuki i dyplomacji, a jeden z biskupów Eneaszy Sylwiusz Piccolomini został papieżem jako Pius II. Także w Lidzbarku Warmińskim powstały podwaliny teorii heliocentrycznej. To tutaj Kopernik „wstrząsnął Słońcem, a poruszył Ziemię” pisząc *Commentariolus* – Komentarzyk o hipotezach ruchu niebios.

i integracji środowiska małych producentów oraz miłośników tradycyjnych serów. Festiwal buduje pozytywny wizerunek małych wytwórców, docenia ich wysiłek oraz promuje walory serów farmerskich i tradycyjnych, produkowanych zgodnie ze sztuką serowarską.

MIĘDZYNATODOWY TURNIEJ PIŁKI NOŻNEJ U-12 WARMIA CUP

9 i 10 czerwca 2018 r. na stadionie w Lidzbarku Warmińskim spotkają się 32 drużyny młodych piłkarzy, aby rywalizować o miano Mistrza Świata. Międzynarodowy Turniej Piłki Nożnej U-12 Warmia Cup to świetny pomysł aby rozgrzać się przed Mundialem. W Turnieju, drużyny będą walczyć o tytuł Mistrza Świata. W trakcie turnieju zapraszamy do piłkarskiego miasteczka, gdzie czekać będzie na was wiele atrakcji oraz gości ze świata sportowego.

XI REKONSTRUKCJA BITWY POD HEILSBERGIEM

16 czerwca 2018 r. po raz 11 odbędzie się rekonstrukcja Bitwy pod Heilsbergiem!

Na polach pod Lidzbarkiem spotka się kilkuset rekonstruktorów z kilkunastu krajów. Tam też powstanie Jarmark Historyczny, będą odbywać się występy artystyczne i warsztaty dawnych zawodów.

Bitwa pod Lidzbarkiem Warmińskim, znana w historii jako Bitwa pod Heilsbergiem, była ważnym wydarzeniem wiosennej kampanii – odbyła się w dniu 10 czerwca 1807 roku, a jej ostatnie akordy trwały do następnego dnia. Była ważnym elementem wojny Napoleona z IV koalicją (1806-1807).

Pod względem liczby walczących oraz ofiar po obu stronach, to była największa bitwa Napoleona na terytorium obecnej Polski. W tej walce brało udział około 140 000 żołnierzy.

W 1807 roku pod Lidzbarkiem Warmińskim (Heilsbergiem) miała miejsce jedna z największych bitew napoleońskich w Prusach Wschodnich, a Napoleon odwiedził miasto i zamek. Wydarzenie to zostało upamiętnione na paryskim Łuku Triumfalnym. Świadkiem niemal całej historii miasta był zamek biskupów, który ze względu na krużganki zbliżone do tych na Wawelu w Krakowie, zyskał miano „Wawelu Północy”. To tutaj odnaleziono jedną z zachowanych kopii kroniki Galla Anonima. Inne godne zobaczenia zabytki to gotycki kościół pw. Św. Ap. Piotra i Pawła, barokowy kościół pw. Podwyższenia Krzyża Świętego, cerkiew prawosławna pw. Św. Piotra i Pawła, pozostałości murów obronnych z Wysoką Bramą, oranżeria bp. Krasickiego.

PARK UZDROWISKOWY DOLINY SYMSARNY

Park Uzdrowski Doliny Symsarny powstał w 2017 roku. Położony w malowniczym przełomie rzeki, która przez setki lat kształtowała tę dolinę. To niezwykle miejsce, które idealnie łączy miasto z zielonymi terenami stworzonymi do odpoczynku i rekreacji. Ze względu na wyróżniający krajobraz, bogatą florę i faunę oraz walory turystyczno-krajoznawcze, teren od 1992 roku stał się Obszarem Chronionego Krajobrazu Doliny Symsarny.

Zalety tego miejsca dostrzegano już jednak znacznie wcześniej. Na dawnych pocztówkach, często obok nazwy miasta, widoczny jest napis „Luftkurort”, co w języku niemieckim oznacza „kurort klimatyczny”. Lidzbark wspomniany był w dawnych przewodnikach jako miejsce do wypoczynku i uprawiania turystyki. Teren parku nazywany jest potocznie „Lidzbarskimi Serpentykami”. Taką nazwę zawdzięcza meandrującej Symsarnie, która jak błękitna wstęga, przecina i owija morenowe pagórki. Podczas spacerów Serpentyki odkrywają także fragmenty historii – zasypaną dziś „Diabłą Jamę”, Górę Okartową – skąd prowadzono już od średniowiecza miejskie wodociągi, pozostałości umocnień „Trójkąta Lidzbarskiego”, dawne miejsce straceń, pomnik bohaterów wojny 1870-1871 czy pozycję rosyjsko-pruską z 1807 roku. Miłośnicy przyrody i fotografii znajdą tu bogactwo gatunków flory i fauny, malownicze aleje drzew i efektowne przełomy Symsarny.

Park Uzdrowski w Dolinie Symsarny zaprasza do odpoczynku i różnorodnych form aktywnego spędzania czasu wolnego. Wyposażono go w urządzenia lecznictwa uzdrowskiego i elementy małej architektury. Na całym obszarze znajdują się drogowskazy oraz tablice edukacyjne, informujące o miejscach wartych

Jednak Lidzbark Warmiński to nie tylko architektura i bogata historia, to także wyjątkowa i piękna przyroda. Uderza przede wszystkim malowniczość położenia, Lidzbark usytuowany jest w dolinie dwóch rzek Łyny i Symsarny. W pobliżu miasta znajdują się urokliwe jeziora. Niespotykany w tych regionach krajobraz górski zachęca do wędrówek. Turystom miasto ma do zaoferowania szlaki spacerowe (łącznie najciekawsze zabytki i zakątki miasta), turystyczne i kajakowe, ścieżki rowerowe, Bulwar nad Łyną a także kompleks rekreacyjno-wypoczynkowy Termy Warmińskie. Lubiący sport mają do dyspozycji atrakcyjną bazę: nowy stadion, dwie hale sportowe, wiele boisk, kąpielisko miejskie, korty tenisowe.

uwagi i ciekawostkach związanych z parkiem. By uprzyjemnić Państwu pobyt w parku, zamontowano wiaty, ławki, stoły i stojaki na rowery. Osobom aktywnym proponujemy skorzystanie z urządzeń do ćwiczeń w obszarze kinezyterapii. Chętni mogą także pobudzić zmysły węchu, słuchu i dotyku, spacerując wzdłuż Ścieżki Sensorycznej. Park Uzdrowski Doliny Symsarny to idealne miejsce na spacer, jogging, nordic walking czy jazdę rowerem.

KALENDARIUM WYDARZEŃ

- II Bieg im. Mikołaja Kopernika – 15 kwietnia 2018
- Majówka miejska – 1-3 maja
- II Konferencja Naukowa „Alternatywne modele rozwoju miast. Wyzwania i problemy małych miast i ich otoczenia” – 11-12 maja 2018
- Rajd Zabytkowych Aut, Rajd Trzech Koron – 1 czerwca 2018
- Ogólnopolski Festiwal Serów Farmerskich i Tradycyjnych „Czas na Ser” – 1-3 czerwca 2018
- I Międzynarodowy Turniej Piłkarski U 12 Warmia Cup – 7-9 czerwca 2018
- Bitwa pod Heilsbergiem – 15-17 czerwca 2018
- Lidzbarskie Wieczory Jazzowe – 14 koncertów; koncert inauguracyjny 29 czerwca 2018; koncert zamykający 25 sierpnia 2018
- XI Festiwal Kultury Myśliwskiej – 21-22 lipca 2018
- Varmia Musica Festival – lipiec/sierpień 2018
- Mistrzostwa Polski Północnej w skokach przez przeszkody – 4 sierpnia 2018
- Dni Lidzbarskiego (10 sierpnia – koncert Disco polo: Exelent, Diamond, Power Play; 11 sierpnia – koncert No Makeup, Sztynny Pal Azji, Kasia Kowalska) – 10-12 sierpnia 2018
- 39 Lidzbarskie Wieczory Humoru i Satyry (Kabaret Koń Polski, Andrzej Grabowski, Artur Andrus, Kabaret Łowczy, Kolątołowska Kuźnia prawdziwych mężczyzn, Szymon Łąkowski, Igor z kabaretu Paranormalni) – 16-19 sierpnia 2018

DOMY W CENIE MIESZKANIA

www.osiedlerus.pl

Dlaczego Osiedle Ruś?

POŁOŻENIE

Osiedle położone jest we wsi Ruś, w pobliżu rzeki Łyny, na skraju Lasów Ramuckich w sąsiedztwie rezerwatu leśnego „Las Warmiński”. Okolica przypomina krajobraz podgórski dlatego czasami zwana jest „Szwajcarią Północy”.

CHARAKTERYSTYKA

- domy o powierzchni od 143 m² do 249 m²
- działki o powierzchni do 2 163 m²
- ceny nawet od 3 295 zł / m²
- domy jednorodzinne wolnostojące, w stanie deweloperskim

MIESZKANIA BLIŻEJ NATURY

www.stawigudacentrum.pl

Dlaczego Stawiguda Centrum?

POŁOŻENIE

Osiedle zlokalizowane jest w samym Centrum Stawigudy. Okolica słynie z urokliwych krajobrazów i wyjątkowej urody miejsc otoczonych lasami i jeziorami. Stawiguda Centrum to kameralne osiedle w warmińskim stylu.

CHARAKTERYSTYKA

- 36 lokali mieszkalnych w budynku 3-kondygnacyjnym
- mieszkania o powierzchni od 25 m² do 56 m²
- ceny nawet od 3 800 zł / m²
- mieszkania w stanie deweloperskim



tel./fax. 89 543-06-51
tel./fax. 89 543-74-52



biuro@masbud.pl
www.masbud.pl



Przedsiębiorstwo Budowlane MAS-BUD Spółka Jawna
ul. Sucharskiego 4 lok. D, 10-693 Olsztyn



KAŻDEGO DNIA OTRZYMUJĘ WYNAGRODZENIE W POSTACI CAŁUSÓW

\\ JEST ŁASUCHEM, ALE TYLKO W TRASIE. W DOMU NIE POTRZEBUJE CZEKOLADY, BO TO DZIECI SĄ JEJ SŁODYCZĄ. CIESZY SIĘ TEŻ, GDY JEJ MUZYKA TOWARZYSZY CZYJEJŚ MIŁOŚCI, A SAMA KOCHA...
LIDZBARK WARMIŃSKI. Z WOKALISTKĄ ANIĄ WYSZKONI ROZMAWIA ADA ROMANOWSKA Fot. Archiwum artystki

— Kochasz Lidzbark Warmiński?

— To chyba za duże słowo, bo aż tak mocno nie jestem związana z tym miejscem. Mam jednak sentyment, dlatego koszulka z napisem „I love Lidzbark Warmiński” z moim autografem była licytowana na aukcji Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Podpisałam się na serduszkach... Pamiętam każdy koncert, jaki grałam w tym mieście. A przecież nie był to jeden występ. Nawet ze Łzami występowałam przed tamtejszą publicznością i wiem, że to nietypowe miejsce. Ma w sobie coś magicznego. Przede wszystkim są tam fajni ludzie. Bardzo wrażliwi na krzywdę drugiego człowieka i chętnie biorą udział w aukcjach charytatywnych. Dzisiaj nie każdy chce robić coś bezinteresownie dla drugiego człowieka. Tego nie da się nie kochać!

— Dodam, że cała Warmia jest magiczna. I taka do kochania.

— Ma niesamowitą aurę, co jest ważne. Mieć las koło domu to jedno, a poczuć tę przyrodę w fantastyczny sposób to drugie. Nie każdy to potrafi. W Polsce jest bardzo dużo pięknych miejsc, których ludzie nie odkryli jeszcze turystycznie. Na przykład z przyzwyczajenia jadą na Mazury, bo... tam jadą wszyscy. Te pomijane krainy na pewno nad tym boleją, bo nawet, jak chcą przyciągnąć do siebie ludzi, to oni i tak wybiorą inny kierunek — ten zgodny z trendem. Uważam jednak, że ta aura — mimo wszystko — jest siłą takiego miejsca. Jest idealne, żeby się wyciszyć. Ja właśnie w takie rejony uciekam.

— A masz na to czas? Lista koncertów się nie kończy...

— Jestem przyzwyczajona do takiego trybu życia. Czas na wypoczynek zawsze się znajdzie. Musi. Bywa, że śpiewam cztery, nawet pięć dni z rzędu, więc nie mam czasu wypocząć. Nawet nie mam jak zregenerować głosu, co tylko potwierdza, jak ważna jest technika w śpiewaniu. Jednak nawet czas, gdy jadę na koncert, też staram się dobrze wykorzystać. Na co dzień mam mniej czasu na czytanie książek, ale w samochodzie to sobie wynagradzam i słucham audiobooków. Słucham też płyt, a przede wszystkim mam czas dla siebie. Wtedy mogę coś przemyśleć, albo nie muszę myśleć w ogóle. To też jest potrzebne.

— Czas dla siebie, zwłaszcza gdy ma się dzieci, jest na wagę złota.

— Jasne, trzeba wykorzystać te chwile. Ale w sumie każdą chwilę wolną trzeba doceniać, nie tylko te w samochodzie. Nie można tylko myśleć: o, wyjeżdżam, odpocznę. To wtedy nie działa. Nawet jak człowiek jest zmęczony, taka ucieczka na niewiele się zda.

— Na zmęczenie podobno niezła jest kawa. Często zajeżdżasz na stację benzynową na małą czarną?

— Uwielbiam kawę, piję z mlekiem, ale nie słodzę. Jestem kawoszem i to ogromnym! Oczywiście najbardziej lubię pić kawę w domu albo w restauracji, bo tam kawa zawsze inaczej smakuje. Nie ukrywam, że kawę na stacjach piję bardzo często. Mam nawet swoje ulubione stacje, na których kawa mi smakuje. I zawsze musi być biała! Ewentualnie cappuccino, a jeśli jest okazja, biorę z czekoladą. Wtedy całkowicie się rozpułtam.

— To ty łasuch jesteś!

— Jestem, ale mały. Potrafię się powstrzymać, ale nie zawsze jest to łatwe. W domu na przykład w ogóle nie jem słodczy. Jednak jak jadę i jestem znużona, to czekolada potrafi trochę mnie odprężyć. No i to dawka energii. Na drogę jak znalazł!

— Być może w 2050 roku czekolady zabraknie, bo kakaowca już nie będzie. Zmiany klimatu i złe uprawy prowadzą do tego...

— To dla mnie przerażająca wizja! Jak ja przeżyję? Czekolada przecież, oczywiście zjadana w rozsądnej dawce, służy zdrowiu. Lubię gorzką, więc tę najzdrowszą.

— I dodaje energii. Przed koncertami zjadasz kilka kawałków?

— A skąd! Przed koncertami nie pijam też kawy. Nic nie jem i nie piję przed koncertami! I to na dwie, trzy godziny przed nic nie wkładam do ust. Chcę czuć się lekko i komfortowo na scenie. Taka asceza jest wskazana.

— Nawet jak robisz się głodna? Na pewno się zdarza...

— Wtedy rzeczywiście sięgam po banana. To dość lekki posiłek. Przed koncertem do przeżycia! (śmiech)

— Teraz promujesz nową płytę „Jestem tu nowa”. Ale to nie tylko tytuł twojej płyty. Ty też tak się czujesz...

— Tak, czuję się teraz pewnie i dobrze sama ze sobą. Mam wrażenie, że odnalazłam spokój życiowy. To chyba jest najistotniejsze. Wtedy życiowo się rozkwita. Trochę to trwało...

— Choroba pewnie dała do myślenia.

— Dzięki takim przeżyciom zaczyna się inaczej dostrzegać uroki życia. Rośnie świadomość, że w każdym momencie może się coś skończyć, urwać. Na górze, jak to się mówi, ktoś się z tego śmieje, bo ma jakiś plan wobec ciebie. Ty go jednak nie znasz. Dlatego warto żyć każdą chwilą. I ja żyję. Kocham swoją pracę, co też jest bardzo ważne. Jasne, jest ona wymagająca, spędzam dużo czasu w samochodzie, nie mam nawet czasu na zwiedzanie miejscowości. Pewnie wszyscy myślą, że przyjeżdżam, spaceruję, podziwiam. Nie, ja od razu muszę się przygotować do koncertu. Później muszę zaśpiewać, a potem mieć czas dla fanów, na autografy czy wywiady. Trochę snu i kolejny dzień w podróży. Czasu naprawdę mam mało.

— Pracę można kochać, ale kocha się przede wszystkim swoje dzieci. Pięć dni tęsknoty pewnie trudno znieść.

— No pewnie, dzieci są najważniejsze. Mam żelazny punkt każdego roku, to właśnie czas ferii i wakacji. Wtedy wyjeżdżamy na tydzień albo nawet na dłużej, żebyśmy mogli się sobą nacieszyć. To zawsze jest aktywny wypoczynek. Nie da rady inaczej. Jak ma się przy sobie pełną energią sześciolatniak Polę, nie można usiedzieć w miejscu. Nawet jakbym chciała położyć, nie mogę. Czytanie książki też nie wchodzi w grę, nawet picie kawy. Ale to jest wspaniałe. Nawet jak dzieci broją, a później się przytulą, to złość mija. Dzieci to sama słodycz. Może dlatego nie jem w domu czekolady? (śmiech) Macierzyństwo to nie łąda wyzwanie i odpowiedzialność za drugiego człowieka, ale każdego dnia otrzymuję wynagrodzenie w postaci całusów, uśmiechu, przytulenia i tego magicznego „kocham cię, mamo”. To są takie momenty, których niczym nie da się zastąpić. Dlatego każda matka tęskni za domem, ale wydaje mi się, że trzeba być też spełnionym zawodowo. Nie mam też natury totalnej domatorki. Gdybym siedziała cały czas w domu z dziećmi, to pewnie nie dałabym rady. Trzeba żyć w równowadze. Nie gonię za karierą, nie idę do celu po trupach, ale lubię wyjeżdżać z domu. Moje dzieci o tym wiedzą. Rozumieją też, że nie chodzę do pracy za karę, ale jej potrzebuję. Oczywiście tęsknię za nimi, a one za mną. Jednak potrzebuję też sceny i kontaktu z ludźmi. Da się wszystko poukładać. Ta praca jest trochę jak dobra kawa. Nie można jej nie smakować. Kontakt z ludźmi mnie napędza do dalszego działania.

— A jakie słowo od fana panią najbardziej zmotywowało?

— Zaskakujących sytuacji nie miałam, ale mam całą masę miłych historii. Jestem perfekcjonistką i zawsze mam wobec siebie jakieś zarzuty.



Ania Wyszkoni : karierę muzyczną rozpoczęła w wieku 16 lat w grupie Łzy. Sukces przepowiedział jej już Wojciech Mann, prowadzący „Szanse na sukces”. Ania wystąpiła w programie w 1999 roku i zaśpiewała piosenkę Myslowitz „Długość dźwięku samotności”. Wygrała. Rok po tym sukcesie Łzy wydały płytę „W związku samotnością”, zawierającą takie przeboje jak „Narcyz się nazywam” oraz „Agnieszka już dawno...”. Łącznie z zespołem nagrała pięć płyt. W 2008 roku rozpoczęła karierę solową. Debiutancki solowy album „Pan i Pani” uzyskał status podwójnej platynowej płyty. w 2014 roku występowała w „Tańcu z Gwiazdami”. Zajęła drugie miejsce. Później wydała kolejne płyty — „Życie jest w porządku” i „Kolędy wielkie”. W 2016 roku ujawniła, że walczy z rakiem tarczycy. Wygrała. Rok później wydała płytę „Jestem tu nowa”. Ma syna Tobiasza i córkę Polę.

A później się okazuje, że ktoś dzięki mnie na koncercie naładował swoje baterie i chce mu się żyć. Widzę wtedy, że to, co robię, ma sens. Mam wrażenie, że moja muzyka służy innym. Może to banalnie brzmi, ale tak właśnie jest.

— **Oj, służy. Chociażby młodym parom. Nie ma wesela bez piosenki: „Czy ten pan i pani są w sobie zakochani”...**

— Tak się mówi, że jak przebój trafia na wesela, to jest już evergreenem

i w naszej świadomości będzie już na zawsze. Cieszę się, że mam w swoim dorobku właśnie taki szlagier! (śmiech) Niektórzy, dochodzą mnie takie głosy, wybierają moje piosenki na pierwszy taniec, co jest dla mnie ogromnym wyróżnieniem. Bo skoro to jest jeden z ważniejszych momentów jednego z najważniejszych dni... Moja piosenka musi coś znaczyć w życiu tych dwojga ludzi. Mało tego, skoro chcą właśnie z nią zaczynać wspólne życie, to jest bardzo motywujące.

PRZEZ 14 LAT BRAŁ NARKOTYKI. POTEM ZOSTAŁ MISTRZEM ŚWIATA

\\ NAJPIERW BYŁ UZALEŻNIONY OD HEROINY, ALE WYSZEDŁ Z NAŁOGU, ŻEBY ZOSTAĆ LEGENDĄ TRIATHLONU. TWIERDZI, ŻE SPORT TO NAJLEPSZE ROZWIĄZANIE DLA ZAGUBIONYCH LUDZI. JEGO HISTORIA STAŁA SIĘ KANWĄ FILMU „NAJLEPSZY”. Z JERZYM GÓRSKIM, IRONMANEM, ROZMAWIA ADA ROMANOWSKA Fot. Archiwum artystki

— Jest pan legendą za życia...

— Absolutnie nie czuję się legendą. Ani bohaterem, ani gwiazdorem, ani celebrytą. Jestem Jurek Górski, mam swój świat i tyle.

— Musiał pan jednak dać zielone światło: róbcie film o moim świecie.

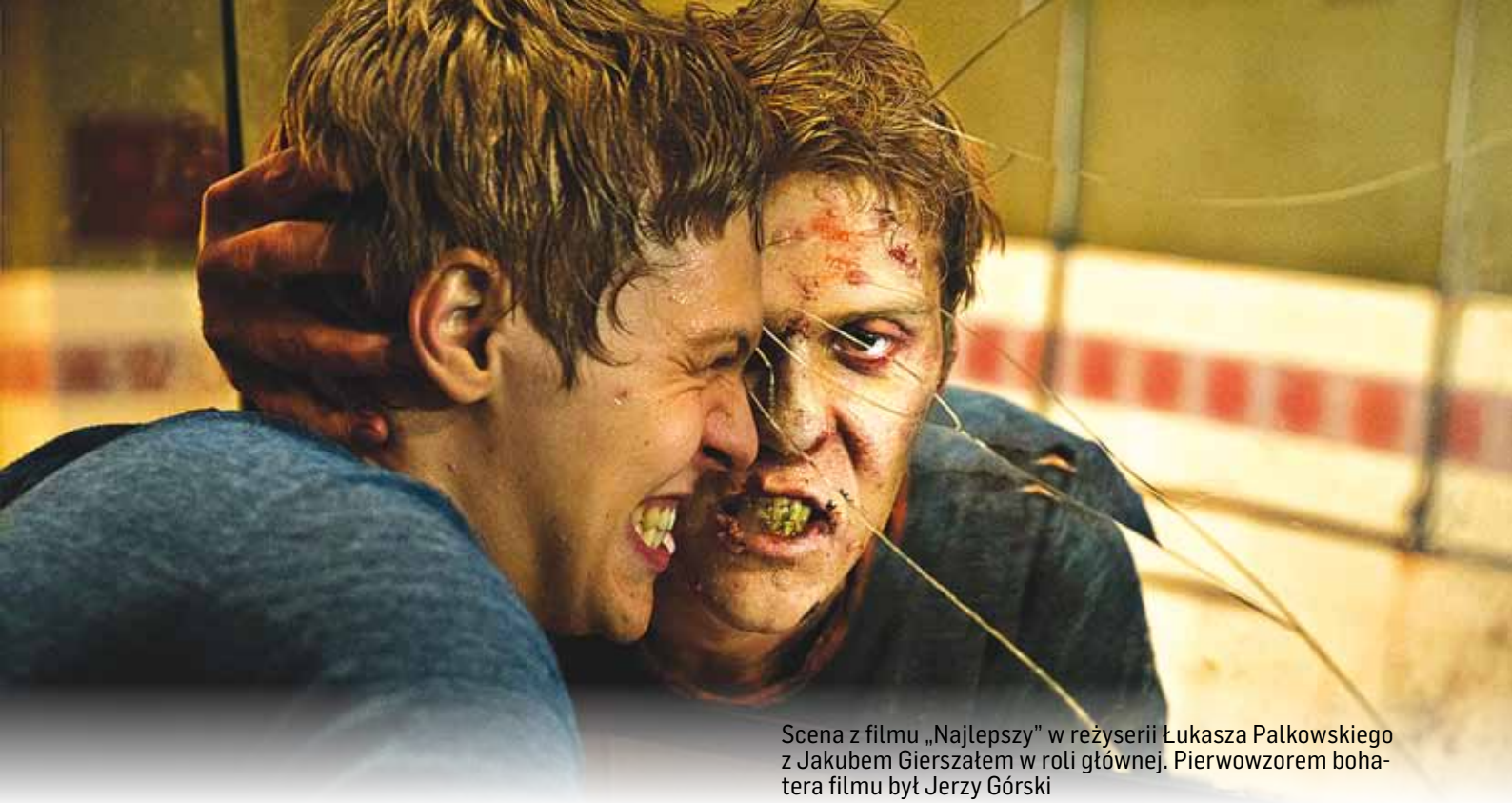
— Od kilkudziesięciu lat ludzie mówili, że moja historia nadaje się na film. I ja ciągle powtarzałem: to róbcie. I piszcie. Ja tego nie robiłem dla filmu i książki, ja to robiłem dla siebie. Mam swoje cele, determinację i cały czas do tego dążę. I w końcu znalazł się człowiek, który zaczął o mnie pisać, opowiadać... Dziś jesteśmy już po filmie.

— I to jest film o dwóch facetach w jednej skórze.

— Jest w tym trochę racji. I jeden facet musiał pokonać tego drugiego. Wygrał silniejszy... Już od trzydziestu trzech lat jestem nowym człowiekiem. Wszystko, co się dzieje z nami, zależy tylko do nas. Co chcemy, a od czego uciekamy.

— A pan od czego uciekł w narkotyki?

— Jeśli człowiek nie ma swojego pomysłu na życie i jest gówniarzem, wszystko może mu zaimponować. A gdy ma się iść inną drogą niż by się chciało, to sięgnąć po używkę jest łatwiej. Dzisiaj młodzi ludzie też poszukują. Rodzice im mówią: zrób to, pójdz tam, bądź tym... Może mówią tak przez przyrząd pieniędzy, a może patrzą na swoje doświadczenie i chcą dla swoich dzieci jak najlepiej. Byłem w podobnej sytuacji. Rodzice na pewno chcieli dla mnie dobrze, ale ja miałem inny pomysł na siebie. Uciekałem z domu, bo jak mieszka się z rodzicami w jednym pokoju, można chcieć uciekać. Każdy chce mieć wolność, chce mieć coś swojego. Każdy ma swoje potrzeby i to zrozumiałe. W tej sytuacji to nawet miłość rodzinna niewiele może zdziałać. I narkotyki dały mi wolność. Pomalowały mój świat na kolorowo. Zresztą tak mówili, że będzie lepiej dzięki nim. Uwierzyłem. Kiedy poczułem pierwszy narkotykowy głód, nie wiedziałem, co to jest. Mówili, że tak będzie, ale ja to bagatelizowałem. Głód? Co za problem,



Scena z filmu „Najlepszy” w reżyserii Łukasza Palkowskiego z Jakubem Gierszatem w roli głównej. Pierwowzorem bohatera filmu był Jerzy Górski

najem się i już... Ale — jak z każdym nałogiem — na początku jest fajnie, a potem, niestety, frajda się kończy. Kolory już nie są tak wyraziste.

— **Kiedy pan się ocknął?**

— Po czternastu latach. Przez pierwszy miesiąc było fajnie. Tylko przez pierwszy. A pani ma jakieś uzależnienie?

— **Lubię kawę.**

— Proszę odstawić ją na tydzień. Zobacz pani, co się z panią będzie działo. Kto będzie panią namawiał do tego, żeby po sięgnąć po filiżankę. Pani drugie ja. I tak jest w życiu we wszystkim.

— **Po jednej stronie diabełek, po drugiej aniołek?**

— Czasami diabełek jest silniejszy od tego aniołka. A później aniołek rośnie w siłę, daje w trąbę i jest lepiej.

— **Był pan narkomanem, a potem został pan Ironmanem, czyli człowiekiem z żelaza. Anioł miał moc!**

— Lubię to, co robię i nikt mnie do tego nie zmusza. To ja dzisiaj o wszystkim decyduję. I to jest wolność. Nieraz trzeba stoczyć ogromną walkę, żeby znaleźć się na mecie.

— **Sport też uzależnia?**

— A kto dzisiaj nie jest nałogowcem? Nie ma życia bez adrenaliny. Jeśli robimy to dla przyjemności, pomaga nam i pozwala żyć, jest dobrze. Dopóki nie robimy ani sobie, ani innym krzywdy, jest w porządku. Ale czasami coś pęka... Ale po to dostajemy w mordę, żeby zmądrzeć. Sport jest najlepszym rozwiązaniem dla zagubionych, sfrustrowanych, zmęczonych ludzi, którzy czują, że chcą się napić, odpłynąć, odurzyć. Dla wszystkich tych, którzy chcieliby coś w swoim życiu zmienić. I to jest takie łatwe, tylko trudno sobie to uświadomić. Ale trzeba chcieć. To jest najważniejsze w życiu. Ruch to najlepsze lekarstwo na ból ciała i duszy.

— **Pan chciał biegać.**

— Ja kiedyś nawet nie pomyślałem, że będę biegał! A potem okazało się, że to akurat moja rzecz. W życiu nie wiadomo, co na nas zadziała. Okazuje się, że znajdujemy się w jakiejś sytuacji i nam to pasuje. Dzięki bieganiu z każdym dniem byłem mocniejszy fizycznie. Zaczęłem brać życie garściami i we wszystkim chciałem być najlepszy. Poszedłem do szkoły, każdy przedmiot był dla mnie interesujący. Niezbadane są wyroki boskie.

— **Z Bogiem podobno też pan rozmawia.**

— Cały czas trzyma mnie za kark i prowadzi. Nie chodzę na kolanach do kościoła, ale rozmawiam z nim, nawet gdy leżę w łóżku. Po swojemu. Nie muszę udawać, pokazywać się, modlić na pokaz. Wiem, że Bóg cały czas mnie trzyma. Gdy chce, prowadzi mnie taką drogą, żebym miał mało problemów. Albo mi przypieprzy, żebym się opamiętał i tyle.

— **Pod samochód też pan wpadł. Też po coś?**

— Wszystko jest po coś. Gdy tir wjeżdża we mnie całą swoją siłą i wszystko jest zmiażdżone... Ja tak chciałem? Skąd! Bóg to zaplanował i na pewno wiedział, co robi. Zresztą skutki tego wypadku odczuwam do dziś. Czasem miewam kłopoty z chodzeniem i jedną rękę mam lekko niewładną. Ale to w ogóle nie ma znaczenia. Tak wyćwiczyłem ciało, żeby jak najmniej

odczuwać te dolegliwości. Bieganie na tyle mnie wciągnęło, że zaczęło sprawiać mi przyjemność i biegam do dziś.

— **Od zwykłego biegania do triathlonu jest jednak kawał drogi.**

— Najpierw zacząłem biegać, potem nauczyłem się pływać, rower sobie kupiłem... Trenowałem bez wytchnienia, musiałem od początku też nauczyć się pływać. Miałem szalenie silną potrzebę nadrobienia czasu straconego przez nałóg. I nadrobiłem. I z tym ułożyłem swoje życie. Do dzisiaj biegam, ale w innym wymiarze. Wcześniej miałem inny cel, ściagałem się i chciałem być najlepszy. Byłem wojownikiem i wszystko, co możliwe, chciałem wygrać. Dzisiaj mam fantastyczną rodzinę i przyjaciół, a kilkanaście lat temu założyłem firmę. Prowadzę treningi. Wszystko sprawia mi wielką przyjemność. Nie muszę wstawać z grymasem na twarzy, na przymus. Chcę, bo to najważniejsze. Bez chęci nie ma niczego. Tak samo było z triathlonem.

— **Ale żeby w jeden dzień przeptynać 10 km, potem przejechać rowerem 140 km, przespać się i drugiego dnia pokonać 285 km rowerem i przebiec 84 km — to nie mieści się w głowie!**

— Trzeba chcieć to zrobić. Nie ma rzeczy niemożliwych. Trzeba trenować i myśleć pozytywnie.

— **Optymista?**

— Całe życie jestem taki. Idę do przodu. Na stanie w miejscu szkoda mi czasu. Dzisiaj jednak jestem mądrzejszy, bo potrafię podejmować racjonalne decyzje. Nie muszę niczego nikomu udowadniać. Kiedyś leciał trening za treningiem. Nie patrzyłem na zdrowie, bo musiałem działać. A dzisiaj, gdy jeden dzień sobie odpuszczę, świat się nie zawali. Kiedyś bardzo, ale to bardzo chciałem. To było mocne chcenie. Dzisiaj bawię się wszystkim.

— **A może to mądrość życiowa?**

— Pewnie tak! (śmiech)

— **Czyli, jak człowiek młody to głupi?**

— Wiek nie ma tu znaczenia. Jak stary to też jest głupi. I też się buntuje. Młodość ma jedynie taką naturę, że się wyrывa z szeregu. Starszy człowiek ma może inną świadomość, ale to wszystko. I może więcej zrozumieć, ale czy zawsze? Cały czas błądzimy. Największym problemem człowieka jest mówienie o swoich słabościach. Ale czasami warto o nich powiedzieć na głos.

/// Jerzy Górski zajął się sportem dość późno, bo w wieku 30 lat. Właśnie zrywał z nałogiem. Narkomanem był przez 14 lat. Gdy zaczął biegać, już nie przestał. Zaledwie dwa lata później ukończył swój pierwszy maraton, a później pisał się coraz wyżej. Startował w światowych maratonach i zawodach triathlonowych rangi Ironman. Na dystansie Double Ironman w Alabamie w 1990 roku, obejmujących 8 kilometrów pływania, 360 kilometrów jazdy rowerem i 84 kilometry biegu, dotarł jako pierwszy na metę. Jego historię opowiada film „Najlepszy” w reż. Łukasza Palkowskiego

TERRORYŚCI PRZEZ LATA W POLSCE ŻYLI, LECZYLI SIĘ I GINĘLI

\\ W DNIU WYBORÓW PREZYDENCKICH W 1990 ROKU, W WYNIKU KTÓRYCH PREZYDENTEM ZOSTAŁ LECH WAŁĘSA, NA OKĘCIU ROZBRAJALIŚMY BOMBĘ ZEGAROWĄ. TO BYŁA PROFESJONALNA KONSTRUKCJA, GDYBY WYBUCHŁA, ZMIOTŁOBY PÓŁ TERMINAŁA. Z ANTYTERRORYSTĄ JERZYM DZIEWULSKIM, AUTOREM KSIĄŻKI „O TERRORYSTACH W POLSCE”, ROZMAWIA ANDRZEJ MIELNICKI

Fot. Wikipedia, Zbigniew Woźniak

— **Aż trudno uwierzyć, że terroryści mieszkali w Polsce przed 1989 rokiem — jak pisze pan w swojej najnowszej książce o terrorystach w Polsce. Szok. Ówczesny rząd o tym wiedział?**

— Absolutnie tak. To było nasze wsparcie dla tych krajów, które — jak to mówił ówczesny rząd — prowadziły wtedy walkę narodowowyzwoleńczą, np. Palestyńczycy chcąc wyzwolić się spod okupacji izraelskiej. Jednak cel nie może uświęcać środków, aktów terroru, mordowania ludzi, ale wtedy kraje bloku wschodniego uważały, że to jest tzw. dobry terroryzm, czyli taki, któremu my sprzyjamy bez względu na to, jakie ma cele. Jeżeli dokonywano zamachów terrorystycznych w Niemczech, gdzie mordowano bankierów, czy we Włoszech, gdzie ginęli ministrowie, to w przekonaniu ówczesnych władz państw socjalistycznych, to był dobry terroryzm, bo niszczył przeciwnika, a wtedy przeciwnikiem dla krajów socjalistycznych były kraje kapitalistyczne. Naturalnie głównym rozdającym karty w obozie socjalistycznym był wówczas Związek Radziecki. To on nadawał określone kierunki.

— **Co robili terroryści w Polsce?**

— Tu żyli jak Abu Nidał, zwany „Bin Ladenem lat osiemdziesiątych” i jeden z przywódców Czarnego Września, komenda Organizacji Wyzwolenia Palestyny zajmującego się aktami terroru czy Abu Daoud, odpowiedzialny m.in. za porwanie izraelskich sportowców na olimpiadzie w Monachium, czy za zamach na włoski statek „Achille Lauro”. Tak na marginesie z zamachu na olimpijczyków w Monachium przeżył tylko jeden zamachowiec, reszta została zlikwidowana na rozkaz ówczesnej premier Izraela Goldy Meir. Ta operacja nazywała się „Gniew Boży”

— **Jak udało mu się przeżyć?**

— Został ukryty. Pracował na budowie warszawskiego Ursynowa. Pracował fizycznie, ale zachował głowę. Terroryści tu żyli, tu się szkolili, a nawet leczyli jak Abu Daoud po zamachu na niego w warszawskim hotelu Victoria. Ciężko ranny, dostał sześć kul, od razu został odwieziony do szpitala MSW, a następnie przewieziony do szpitala we wschodnim Berlinie. Dzieci terrorystów chodziły do polskich przedszkoli. Polska przechowywała terrorystów, była dla nich otwarta, ponieważ Związek Radziecki, który narzucał nam określoną politykę, wskazywał, jak mamy się zachowywać. Nasz rząd dobrze wiedział, czym się zajmowali. Bez jego wiedzy terroryści nie mogliby np. kupować u nas dużej ilości broni

— **W czasie studiów nieraz spotkałem się z Palestyńczykami, bo mieszkali w naszym akademiku. Ale wtedy nikt nie mówił o OWP, że to terroryści, to byli bojownicy.**

— Studia w Polsce to była metoda na przechowanie Palestyńczyków, choć oczywiście nie wszyscy byli w OWP. Niektórzy zostali po studiach

w Polsce, żyją tu do dziś. Przypomnę tylko, że konstruktorem specjalnej wyrzutni rakiet z rur kanalizacyjnych był Palestyńczyk, który robił doktorat na jednej z naszych uczelni. Przez wiele lat Palestyńczycy wykorzystywali tę broń do ataków na Izrael. Myśli pan, że polskie władze mogły o tym nie wiedzieć? Palestyńczycy czuli się bardzo pewnie w Polsce, mieli nawet swoje przedstawicielstwo, które było traktowane jak ambasada.

— **Można powiedzieć, że to polityka rządu, kto jest terrorystą a kto nie?**

— Zdecydowanie tak. Po to napisałem tę książkę, żeby ludzie dowiedzieli, a szczególnie ci, którzy uważają się za ekspertów od terroryzmu i opowiadają, że w Polsce nigdy nie było terroryzmu, że są w błędzie. Kiedy w Polsce dokonywano zamachów na samoloty, żeby uciec do Berlina czy Wiednia, to do dziś niektórzy mówią, że to było tylko uprowadzenie samolotu do lepszego świata. To pytam, gdyby dzisiaj ktoś uprowadził samolot, bo mu się nie podoba rząd PiS, byłoby to uprowadzenie czy akt terroru? Terroryzmem zajmuję się ponad 40 lat. Mało kto wie, że 25 listopada 1990 roku w dniu wyborów prezydenckich, w wyniku których prezydentem został Lech Wałęsa, na lotnisku na Okęciu rozbrajaliśmy bombę zegarową, która ktoś umieścił pod skupem nośnym. To była profesjonalna konstrukcja. Gdyby wybuchła, zmiotłoby pół terminala. Ale o tym było cicho, bo przecież Polska była już wolna i informacja o zamachu zburzyłaby ten świąteczny nastrój. I jeśli eksperci mówią, że w Polsce nie było zamachów terrorystycznych, to opowiadają głupstwa. Sam, jako dowódca antyterrorystów na Okęciu, brałem udział w likwidacji 13, ratując życie prawie 800 pasażerom.

— **W swojej książce pisze pan, że w 1970 roku doszło do 19 uprowadzeń samolotów w kraju.**

— Tylko w jednym roku! Polska do 1979 roku była na pierwszym miejscu na świecie pod względem zamachów terrorystycznych na samoloty.

— **Chyba mało kto wie, że, że najstydniejszy terrorysta oślawiony Carlos, przez prasę nazwany Szakalem był w Polsce, a nawet — jak pan pisze — lubił polskie kobiety, wódkę, flaki i nasz bigos. Co tu robił, bo przecież bomb nie podkładał?**

— Nie, nie. Wtedy były dwa rodzaje terrorystów w krajach socjalistycznych. Jedni przyjeżdżali do Polski, by nawiązać kontakty w celu pozyskania wsparcia np. rządu w sprawie pomocy finansowej czy w uzbrojeniu. I drudzy, którzy przyjeżdżali tutaj tylko po to, by się ukryć. Terrorystom było łatwiej ukryć się w Polsce, bo nasz kraj był mniej penetrowany przez obce wywiady. Carlos wiedząc, że szuka go Zachód, szczególnie Francuzi, na kilka tygodni schronił się w Polsce. Jednak w latach osiemdziesiątych Abu Nidał już odradzał Carlosowi przyjazd do Polski, mówiąc, że to nie jest ten sam kraj.

— Prawdziwe imię i nazwisko Szakala to Ilich Ramirez Sa'nchez. To imię Ilich Wenezuelczyk naprawdę dostał na cześć wodza rewolucji bolszewickiej Iljicza Lenina?

— Tak, jego ojciec był zafascynowany Leninem, socjalizmem. Szakał studiował w Moskwie. I wszystko wskazuje, że był radzieckim agentem.

— Kiedy terroryści wynieśli się ostatecznie z Polski?

— Praktycznie rzecz biorąc, wszyscy oficjalni, bo być może została część zakamuflowanych tzw. śpiochów, opuścili nasz kraj pod koniec lat osiemdziesiątych. Amerykanie wymusili to na naszych władzach, skończyło się przechowywanie terrorystów.

— Przyznam, że trochę włos mi się zjeżył na głowie, kiedy przeczytałem w pana książce o tajnej naradzie ekstremistów muzułmańskich w Polsce. Miało do niej dojść w 2002 roku. To prawda?

— Oczywiście. Byli, rozmawiali, planowali i wyjechali. Jakie są skutki tego, tego nie wiem, chyba nikt nie wie. Informacje o tym spotkaniu zdobył włoski wywiad, nagrali to u siebie. Dlaczego nie przekazali naszemu? Być może dlatego, że wtedy nie byliśmy w UE. Zresztą w 2002 roku tak na dobrą sprawę nie było polskiego wywiadu. Dopiero się konsolidował. Poza tym Włosi nam nie ufali, zresztą postąpili tak samo jak wobec Amerykanów w Somalii, którzy dostali tam łomot. Włosi mają dobre rozeznanie tej części Afryki i włoski wywiad dobrze wiedział, co czeka Amerykanów, ale ich nie uprzedził.

— Historię tej operacji przeniósł na ekran Ridley Scott kręcąc słynny „Helikopter w ogniu”. W pana książce pada pytanie, dlaczego do tej pory terroryści nie wzięli Polski na celownik.

— Nie ma potrzeby. Z punktu widzenia medialnego jesteśmy mniej atrakcyjni niż Niemcy czy Francja. Po drugie, kto to byli terroryści Al-Kaidy? Byli sterowani przez byłych żołnierzy Kadhafiego, którzy później tworzyli ISIS. A wie pan, z kim wtedy Polska współpracowała? Za czasów Kadhafiego budowaliśmy w Libii drogi, fabryki. I stary sentyment został, Polska jawiła się wtedy jako przyjacielski kraj, ale to się już skończyło. Niech mnie pan nie pyta, czy dojdzie do zamachu w Polsce, niech mnie pan zapyta, kiedy? Bo to jest jakby oczywiste, dojść musi, nie mamy immunitetu. Francuzi, Niemcy zatrzymują dziesiątki osób, które planują dokonanie ataku terrorystycznego. Zamachowcom zaczyna się palić grunt pod nogami, to poszukają innych celów, w innych krajach.

— Po każdym zamachu gdzieś w w Europie nasi ministrowie, politycy uspokajają, że u nas nie ma zagrożenia. Skąd, u licha, to wiedzą, od terrorystów?

— Nie wiedzą. I dramat polega na tym, że gdy minister zapewnia, że u nas jest bezpiecznie, że wszystko mamy pod kontrolą, to pokazuje to tylko bezradność władz. A tego rodzaju zapewnienia powodują, że ludzie przestają być czujni, bo „nic nam nie grozi”. A za kilka dni minister wychodzi i prosi, żeby zwracać uwagę na nietypowe zachowania innych ludzi.

— Kiedy zaczynał pan walkę z terrorystami, terroryzm wyglądał inaczej. Frakcja Czerwonej Armii, Irlandzka Armia Republikańska, Czarny Wrzesień miały rozbudowane struktury, komórki. Al-Kaida szkoliła terrorystów, a dziś ISIS wysyła sygnały. Terroryzm stanął, bo każdy może być terrorystą, wystarczy ukraść



Jerzy Dziewulski: Francuzi, Niemcy zatrzymują dziesiątki osób, które planują dokonanie ataku terrorystycznego. Zamachowcom zaczyna się palić grunt pod nogami, to poszukają innych celów, w innych krajach

ciężarówkę i wjechać nią w tłum.

— Każdy rodzaj przestępstwa ewoluuje. Im ciężiej pracują służby, tym bardziej zmuszają terrorystów do działań na innym poziomie. Ten nacisk służb doprowadził do wykształcenia się terroryzmu indywidualnego, kiedy człowiek chwyta za nóż i wychodzi na ulicę krzycząc Allah Akbar.

— To jak temu przeciwdziałać, czy w ogóle jesteśmy w stanie zapobiec takim zamachom?

— Nie można, nie da się przeciwdziałać samotnikom, którzy zostali gdzieś tam zindoktrynowani i wyszli na ulicę, by mordować ludzi. Jeszcze nikt na świecie nie pokonał terroryzmu. Prezydent Trump ośmieszył się, mówiąc publicznie, że zlikwiduje terroryzm. Nigdy nie zostanie zlikwidowany, bo to jest proste, prymitywne narzędzie, które od setek lat towarzyszy człowiekowi. Tylko zmieniają się formy, zmieniają się cele, bo kiedyś celem terrorystów byli premierzy, bankierzy, prokuratorzy.

— A dziś dzieciaki na koncercie, tak jak to

było na koncercie Arianny Grande w Manchesterze.

— Właśnie, dzieciaki na ulicy.

— Porównuje pan terroryzm do złośliwego nowotworu, który ciągle tworzy przerzuty. To co dalej ze światem, szczególnie z Europą, gdzie ciągną imigranci z pół świata?

— W książce jest takie jedno brutalne zdanie.

— Chyba wiem, jakie, że walka z terroryzmem musi być totalna i bezwzględna.

— Dokładanie tak. I trzeba się zastanowić w ogóle nad sensem takich dyskusji jak na temat więzień w Kejkutach. Bułgaria, Rumunia, Litwa nic na ten temat nie mówią, a my bicujemy się publicznie, wyciągając wszystko na światło dzienne w ramach tzw. demokracji. To ślepe prawo, które nie widzi skutków. To krótka droga do samounicestwienia. Terroryzm bliskowschodni nie tylko ewoluuje w kierunku politycznym, ale w kierunku religijnym. Dlatego gdy mowa o imigrantach, to powinniśmy dać szansę, ale ludziom wyjątkowo wyselekcjonowanym. Niemcy mają wrzód na d..., bo poprzyjmowali i już zatrzymali ponad 30 terrorystów przygotowanych do walki właśnie wśród tych, którzy uzyskali teraz azyl. Czy pan myśli, że świat arabski chce się asymilować, integrować? A skąd! Oni wszyscy organizują się w klany, nie chcą być częścią społeczeństwa. Chcą swoich zasad.

— I czasy mamy takie, że każdego dnia możemy zginać z ręki terrorysty i to niezależnie od tego, gdzie będziemy, czy na wycieczce w Egipcie, czy na koncercie w Paryżu lub na spacerze w Londynie.

— Kiedyś terroryści mieli cel, to były organizacje, a dziś jakim celem jest maskara na koncercie, zabijanie ludzi w restauracji? Jaki to cel? Tylko sianie strachu, niewyobrażalnego strachu. I terroryści osiągnęli cel, o którym nawet nie marzyli. Dziś widok kobiety w burce na ulicy powoduje, że przechodnie ją omijają szerokim łukiem. Nie potrzeba karabinu, materiałów wybuchowych.

— To w imię Allaha?

— Tak, to przybrało postać pewnej fazy wojny religijnej, próby przekonania Europy do wartości, które według wyznawców Allaha, muszą być uznawane na całym świecie. To ekspansja ideologiczna. A zawołanie Allah Akbar ma podkreślać cel, dla którego to się robi.



ŻYCIE JAK PUDEŁKO CZEKOLADEK. TOM HANKS TRAFIŁ NA FIATA

\\ NAJPIERW TOM HANKS ZROBIŁ SOBIE ZDJĘCIE Z FIATEM 126P I WRZUCIŁ JE NA FACEBOOKA. POTEM ONA ZORGANIZOWAŁA ZBIÓRKĘ PIENIĘDZY NA KUPNO MALUCHA DLA NIEGO. Z MONIKĄ JASKÓLSKĄ Z BIELSKA-BIAŁEJ, KOBIETĄ, DLA KTÓREJ NIE MA RZECZY NIEMOŻLIWYCH, ROZMAWIA KAROLINA ŚLĄZ

Fot. archiwum prywatne

Moniki Jaskólskiej

— **Zaczęło się od tego, że hollywoodzki aktor Tom Hanks, którego wszyscy znamy z roli Forresta Gumpa, zrobił sobie zdjęcie z fiatem 126p i wrzucił je na swój profil na Facebooku.**

— Tom napisał przy tym zdjęciu, że jest bardzo podekscytowany swoim nowym autem. Nie do końca wtedy wiedziałam, czy sobie żartuję czy nie, ale postanowiłam, że zorganizuję zbiórkę pieniędzy na zakup tego samochodu dla niego. To było w listopadzie ubiegłego roku

— **W ciągu roku udało się pani zebrać pieniądze, kupić auto, wyremontować i osobiście przekazać Tomowi.**

— Nawet jeździliśmy razem po ulicach Los Angeles. Tom był bardzo podekscytowany, auto mu się podobało. Mówił, że nie spodziewał się, że tak łatwo mu się będzie je prowadziło.

— **I jak wrażenia po tym spotkaniu?**

— To była przygoda mojego życia. Pierwszy raz spotkaliśmy się, kiedy w październiku przyjechałam do Los Angeles na zaproszenie organizatorów Festiwalu Filmów Polskich. Tom dowiedział się, że tutaj jestem i zaprosił mnie na promocję swojej książki. Już wtedy wydał się bardzo sympatycznym człowiekiem. Kolejne spotkanie potwierdziło, że to naprawdę wielka osobowość.

— **W internecie pojawiła się informacja, że Tom Hanks chce wybrać się na galę Oscarową maluchem. Czy wspominał pani coś na ten temat?**

— Jeżeli by tak zrobił, to byłoby mi bardzo miło. Natomiast myślę, że gala Oscarowa to nie miejsce dla fiata 126. To jest impreza, na którą idzie się w bardzo formalnych strojach. Jego żona na pewno wybierze się w długiej sukni. Trudno byłoby jej w elegancki sposób wyjść z malucha. Tym bardziej że każdy jedzie tam z kierowcą. Chociaż, znając Toma, nie zdziwiłoby mnie to, gdyby jednak pojechał tam maluchem. Mogłoby się okazać, że jego żona pojedzie limuzyną przed nim. Wszystkiego można się po nim spodziewać. Obiecał też, że będzie fiatem 126p jeździł po ulicach Los Angeles, co bardzo mnie cieszy.

— **Czy Tom Hanks wybiera się do Polski?**

— Najprawdopodobniej spotkamy się jesienią 2018 roku, ale to jeszcze nie jest ustalone na sto procent. Jest bardzo zajęty człowiekiem, właśnie nagrywa kolejny film. Gdybym wiedziała, jak trudno jest się do niego dostać, to nie przeprowadziłabym tej akcji. Ale nie wiedziałam i dlatego mi się udało.

— **Pochodzi pani z Bielska-Białej, a bielszczanie mają szczególnie sentyment do malucha.**

— To auto było u nas – w Bielsku-Białej – produkowane przez długi czas. Tak sobie mówimy, że jeżeli chodzi o małego fiata, to żartować z niego możemy tylko my. Dlatego stwierdziłam, że opowiem Tomowi całą historię związaną z tym samochodem. Byłam pewna, że on jeszcze raz zrobi sobie zdjęcie przy tym aucie, ale ono będzie pełne naszych emocji. I tak się stało, bo w fiacie 126p nie da się nie zakochać.

— **Skąd pomysł, żeby przekazać mu to auto do rąk własnych?**

— Od początku zakładałam, że samochód dostarczę osobiście. Przecież takich prezentów nie przekazuje się przez kogoś. Przekazanie fiata miało miejsce 30 listopada w domu konsula, kluczyki odebrał z moich rąk. Potem mieliśmy prywatne spotkanie, które trwało czterdzieści minut. Rozmawialiśmy o całej akcji, o szpitalu, na który nadal zbieram pieniądze. Tom pytał mnie też o życie prywatne, o dzieci.

— **Co o fiacie 126p powiedziała pani Hanksowi?**

— Że to auto zmotoryzowało Polskę i my, Polacy, mamy z nim mnóstwo wspomnień. To było auto, którym przemycano pierwsze towary za granicę. Nim całe rodziny jeździły na wakacje, niektórzy tym maluchem zwiedzali cały świat. I powiedzieć, że fiat 126p to jest auto, to powiedzieć zbyt mało. Ten samochód to takie nasze muzeum emocji. Ja też miałam dwa maluchy i oba były białe.

— **Dlatego Tom Hanks też dostał białego malucha?**

— Postanowiłam, że maluch dla Toma Hanksa będzie biały z dwóch powodów. Po pierwsze, od nazwy miasta – Bielsko-Biała. Po drugie, kiedy przy remoncie samochodu ściągnięto z niego kolejne warstwy lakieru, okazało się, że auto w 1974 roku właśnie białe wyjeżdżało z fabryki w Bielsko-Białej.

Egzemplarz, który dostał Tom Hanks, jest wyjątkowy jeszcze z innych powodów. Auto zostało wyremontowane i dla niego spersonalizowane. Zamknięcia do drzwi to ręcznie kute elementy, które imitują przyciski do starych maszyn do pisania, bo Tom je kocha. Na gałce skrzyni biegów znajduje się logo Bielsko-Białej. Kolory wnętrza auta także są inspirowane kolorami loga mojego miasta. Na tylnych siedzeniach mamy teczki imitujące słynną teczke z Foresta Gumpa. Tuż przed wylotem na desce



Monika Jaskólska: Nie bałam się, że fiat 126p okaże się dla Toma zbyt głośnym autem. Przy swoim wzroście 181 centymetrów, siedząc wewnątrz tego auta, uszy może zatkać sobie kolanami

rozdzielczej umieściłam tabliczkę z cytatem właśnie z tego filmu: „Życie jest jak pudełko czekoladek. Nigdy nie wiadomo, co się trafi”. Tom pierwszy zacytował mi to zdanie, wysyłając do mnie maila. Do cytatu dopisałam, że matka Foresta — bo to były jej słowa — miała cholerną rację. Ta dedykacja jest dla Toma, ale także dla partnerów, którzy to auto wyremontowali, odesłali za ocean i spowodowali, że mogłam tę akcję uczynić charytatywną.

— **Właśnie, bo w tej akcji chodziło nie tylko o malucha dla Toma Hanksa, ale przede wszystkim o wsparcie Szpitala Pediatrycznego w Bielsko-Białej. Dlaczego działa pani akurat na rzecz tego miejsca?**

— Cztery lata temu znalazłam się tam ze swoją, wówczas dwumiesięczną, córeczką Hanią — zachorowała na rotawirusa. Spędziłam tam półtora tygodnia, śpiąc na podłodze. Po wyjściu stwierdziłam, że tak nie może być. Zorganizowałam pierwszą akcję charytatywną pt. „Nie wypada nie pomagać”. Od tamtej pory co roku odbywa się bal charytatywny i akcja właśnie pod tym tytułem. Kiedy zobaczyłam zdjęcie Toma Hanksa z naszym fiatem przyszedł mi do głowy pomysł, żeby połączyć akcję z autem z działaniem na rzecz szpitala. Tomowi to się też bardzo spodobało. Dał mi książkę na licytację, którą wystawiłam i już mamy za nią trzydzieści tysięcy złotych, a aukcja jeszcze się nie skończyła.

— **Co udało się kupić dla szpitala dzięki akcji z fiatem dla Hanksa?**

— Przede wszystkim łóżka dla rodziców. Wkrótce zaczniemy wyposażać sale do terapii oddziału psychiatrycznego. Oddział powstał w budynku, który wymagał generalnego remontu. Zamierzam tę akcję kontynuować, ale na pewno będę potrzebowała wsparcia. Jestem zmęczona, ale sumienie nie pozwoli mi zmarnować potencjału tej akcji. Dostaję teraz ponad dwieście e-maili i sto telefonów dziennie. Na jedną osobę to jest za dużo.

— **Prowadzi pani firmę odzieżową, ma pani trójkę małych dzieci, w tym bliźnięta, i jeszcze prowadzi akcje charytatywne. Przecież to jest szaleństwo.**

— Dokładnie — to jest szaleństwo. Pracuję po osiemnaście godzin na dobę siedem dni w tygodniu. Cieszę się, że ta akcja się udało. Zebraliśmy kolejne pieniądze na potrzeby szpitala, promowałam swoje miasto i Polskę, ale to kosztowało mnóstwo wyrzeczeń.

— **Podobno od dzieciństwa miała pani smykatkę do organizowania.**

— Tak twierdzi moja przyjaciółka. Mówi, że organizowałam konkursy, festiwale i ustawiałam całe podwórko. Dobrze, że ona to pamięta, bo ja mniej.

— **Co osobiście dała pani ta akcja z maluchem?**

— W ciągu ostatniego roku nabrałam tyle doświadczenia jakbym przeżyła dwadzieścia lat. Poznałam bardzo wiele ludzkich zachowań — od tych bardzo dobrych do tych bardzo złych. Od samego Toma nasłuchiwałam się tyle komplementów, że wystarczy mi chyba na dziesięć lat. I to takich naprawdę życzliwych, opisujących siłę walki i to było bardzo miłe. Nie zarobiłam na tym nic, nie taki był cel. Zyskałam przygodę życia, ale opłaconą bardzo ciężką pracą. Także jeżeli komuś się wydaje, że miałam po prostu szczęście, to jest bardzo mylne wrażenie. Jeżeli ktoś chce, żeby spotkało go w życiu coś naprawdę dobrego, to musi zakasać rękawy i po prostu działać.

— **Ma pani ulubiony żart albo anegdotę na temat fiata 126p?**

— Nie bałam się, że fiat 126p okaże się dla Toma zbyt głośnym autem, bo wiedziałam, że będzie miał wyśmienite wygłuszenie. Przy swoim wzroście 181 centymetrów, siedząc wewnątrz tego auta, uszy może zatkać sobie kolanami.

/// **Monika Jaskólska:** pomysłodawczyni zakupu fiata 126 p dla Toma Hanksa. Akcja odbiła się szerokim echem w całej Polsce. Wszyscy usłyszeli o Bielsku-Białej i produkowanym niegdyś w tym mieście fiacie 126p, a przy okazji o akcji „Nie wypada nie pomagać”, która wspiera Szpital Pediatryczny w Bielsku-Białej. Monika Jaskólska zawodowo właścicielka marki odzieżowej, a prywatnie mama trójki dzieci: 6-letniej Basi i młodszych od niej o 2,5 roku bliźniaków: Jasia i Hani.

STOKROTKI W SOSIE WŁASNYM, CZYLI BUKIETY Z ŁĄK NA TALERZU

\\\ **NASTURCJE, BRATKI, PIWONIE, STOKROTKI – KAŻDA KOBIETA CIESZY SIĘ NA WIDOK KWIATÓW. ALE AUTORKA BLOGA KULINARNEGO Z WARMII I MAZUR, MA DO NICH SZCZEGÓLNY STOSUNEK. BUKIETY Z JEJ KUCHNI ŁĄDUJĄ NAJCHĘŚCIEJ NA... TALERZU! Z EWĄPE, CZYLI EWĄ PUŁAWSKĄ, ROZMAWIA AGNIESZKA POROWSKA** Fot. ewape.blogspot.com

– **Je pani kwiaty? Jak to?!**

– Tak, wiem, dziwnie brzmi, ale to prawda — jem kwiaty! Kwiaty są pysznym składnikiem potraw w naszej kuchni. Tak samo jak sałata czy inne warzywa. Choć jest w tym jednak coś głębszego.

– **Kryje się za tym jakaś filozofia?**

– Jest pewna książka, która pomogła mi zrozumieć, jak bardzo człowiek związany jest z naturą, a co za tym idzie z roślinami, kwiatami, zwierzętami. To pierwsza w Polsce wegetariańska książka „Wegetariańskie okruciny” Marii Grodeckiej.

– **Jak wyglądało pani życie, zanim zaczęła pani układać kwiaty na talerzach?**

– Kwiaty w moim życiu były obecne, odkąd pamiętam. W dorosłym życiu i w pracy też — zwykle na moim biurku stał bukiet kwiatów łąkowych. Gdy straciłam pracę — jestem grafikiem komputerowym — one i miłość do natury pomogły mi przejść najtrudniejszy czas.

– **A więc zawsze żyła pani blisko natury?**

– Urodziłam się w Mragowie, a wychowywałam na wsi 11 km za miastem. Cała podstawówka to czas niesamowitego zespolenia z naturą. Od kiedy pamiętam, ciągnęło mnie do roślin, choć oczywiście jako dziecko wielu rzeczy nie wiedziałam i nie było tak, że rzuciłam się na nie i zjadałam wszystko jak popadnie. Zaczęło się od bukiecików. Znosiłam je do domu tonami. Mama mnie wyganiała z nimi, bo wszędzie w pokojach były płatki. Uwielbiałam samo zbieranie, lubiłam grzebać się w łąkach. Stuchtałam też opowieści różnych starszych pań i ich zielarskich tajemnic. Dobrze czułam się w ich świecie i już w pierwszej klasie podstawówki sama założyłam ogródek z kwiatami, które dawały mi mieszczące w mojej wsi Mazurki. Śiałam, sadziłam i byłam naprawdę szczęśliwa, widząc, jak to wszystko rośnie.

– **Jest pani weganą, nie je pani nic, co pochodzi od zwierząt. Jak wyglądała ta droga do weganizmu?**

– Odstawienie mięsa poszło mi gładko, ale przez jakiś czas jadłam jeszcze ryby. Potem, nawet nie wiem kiedy, pożegnałam się z nimi. Trzeba słuchać siebie i swojego ciała i nie robić nic gwałtownie. Gdy odstawiłam mięso, zmieniamy świadomość. I to nawet nie jest kontrolowane, powoli stajesz się bardziej uważnym człowiekiem.

– **Nie lubi pani słowa „dieta”. Nie powie pani o sobie „jestem na diecie wegańskiej”.**

– Bo to po prostu jest przyjazne człowiekowi pożywienie, a dieta kojarzy się albo z chorobą albo z odchudzaniem. Dietę trzeba przetrzymać. Tu nic przetrzymywać nie trzeba. Tylko korzystać z darów natury.

– **W powszechnym przekonaniu utarło się, że nie zaszkodzi nam bratek, ewentualnie zupa z pokrzywy. Co jeszcze możemy jeść?**

– Najbardziej znanym i serwowanym kwiatem są chyba kwiaty cukinii. Najpierw była to włoska i francuska specjalność, ale w w tej chwili w Polsce też już się przyjęła. Kwiaty cukinii i wszystkich dyniowatych cieszą się niestabnym powodzeniem, dlatego że można je nadziewać, smażyć, używać na surowo do sałatek. Mnóstwo kwiatów jest jadalnych, szkoda z nich nie korzystać.

– **Wychodząc na letnią łąkę — na co powinniśmy zwrócić uwagę?**

– Poczawszy od wiosny, na pewno są to stokrotki, mniszek, kwiaty jasnoty purkowej i jasnej, czosnaczku, podbiału, bluszczyka kurdybadka,

potem kwiaty akacji. Mniszek jest jadalny właściwie cały, bo i jego łodygi i listki mają mniej goryczy niż latem. Na przykład we Francji na rynkach można kupić mniszek w pęczkach. Robi się tam z nich tak zwaną sałatkę piękności.

– **Mniszek działa podobno detoksykacyjnie...**

– Oczyszcza krew, wpływa dobrze na cerę i trawienie. Potem można zrobić z niego miód, taki nektar z kwiatów — to jest coraz powszechniejsze. Rośliny wracają do task.

– **Mamy większą świadomość? Chcemy być bliżej natury niż poprzednie pokolenia?**

– Tak, w dużej mierze to wszystko za sprawą programów kulinarnych i haseł — wcale nie głoszonych na wyrost — że jesteśmy tym, co jemy. Mamy też coraz większy dostęp do tych roślin i przepisów, choć tak naprawdę nie jest to nic nowego.

– **No właśnie, można powiedzieć, że wracamy do korzeni...**

– Nasze babki i prababki nie miały marketów. Nie zawsze panował taki dobrobyt i tylko dzięki dobrej znajomości natury i roślin ludzie potrafili wtedy przetrwać. A teraz te stare gatunki roślin wracają. Żółte czy fioletowe marchewki to nie jest nic nowego, nic przetworzonego genetycznie, by cieszyć oczy klientów w sklepie. One już były. Tak to dobre określenie, że w każdym sensie wracamy do korzeni.

– **Świeże kwiaty i warzywa możemy jeść od wiosny do jesieni, a co potem?**

– Kiszonki. Stały się bardzo popularne. Na przykład kiszony burak wykorzystywany na barszcz. Gdy byłam w Londynie, miałam okazję spróbować oryginalnej kuchni koreańskiej, w tym potrawy narodowej — oryginalnej kiszonych koreańskiej kim chi. To nasz odpowiednik kiszzonej kapusty. Fermentowana kiszona żywność jest bardzo zdrowa, bo podczas procesu kiszenia wytwarzają się mikroelementy, czy potrzebny naszym jelitom kwas mlekowy.

– **Co najczęściej łąduje w pani kiszonychkach?**

– Kiszę jarmuż, boczniaki, białą rzodkiew, marchewkę, czosnek, porę...

– **To, że jakaś roślina jest gorzka, nie musi jej wykluczać z naszego jadłospisu?**

– Nie wszystkie mają w sobie mocną gorycz. Na przykład babka lancetowa jest bardzo gorzka, ale kilka listków dodanych do sałatki, na pewno wzbogaci jej smak. Z kolei kwiaty nasturcji mają rzodkiewkowy smak, a todyga jest słodka. W jednej roślinie wiele możliwości. Podobnie jak w przypadku szatwii, której kwiaty są miodne. Cykorię też nie każdy lubi, ale ta gorycz jest nam bardzo potrzebna do trawienia.

– **Ma pani swoich kwiatowych ulubieńców?**

– Piwonia i ogórecznik. Kwiaty piwonii są często cierpkie i można ich używać do sałatek. Dobrze się komponują z jakimś sosem vinaigrette. Ich cierpkość i słodkość zależy od koloru płatka. Im bardziej bordowe, tym bardziej cierpkie. Różowe są słodsze. Tu można powiedzieć, że w jednym kwiatostanie mamy wybór smaków.

– **A ogórecznik?**

– To ziolo, które jak sama nazwa wskazuje, ma zapach i posmak ogórka. Jego kwiatki są niebieskie. Liście można smażyć, jak szpinak z czosnkiem, a posiekane kwiaty dać do sałatek.

– **Mówiła pani między innymi o jarmużu. To wszystko ze swojego ogródka?**

– Nie swojego, ale swojskiego. Mam swoje zaprzyjaźnione gospodarstwo. Znam wielu rolników pasjonatów, którzy w ostatnich latach zaczęli hodować między innymi właśnie jarmuż. W Warszawie wszystkie te oryginalności można już kupić bez problemu, w Olsztynie bywa z tym różnie. Coraz więcej ludzi zaczyna interesować się świadomym odżywianiem i dla czegoś dobrego świeżego i ekologicznego gotowi są przejechać kawał drogi. W naszym regionie mamy na przykład sporo małych wytwórni, w których jest tłoczony na zimno olei rzepakowy, słonecznikowy czy lniany.

– **Potrafi pani wstać o 6 rano i pójść na taką na łowy?**

– Oczywiście! Wtedy jest najczyściej i najpiękniej. Wiem kiedy, co kwitnie i tego pilnuję. Na przykład na pokrzywę najlepiej chodzić w maju i późną jesienią. Zresztą warto wspomnieć, że z pokrzywy możemy wykorzystać także korzeń, który moczy się w spirytusie i robi się z niego nalewki idealne na zimową porę. Ale nie zawsze trzeba chodzić daleko. Niektóre rośliny, choćby takie jak nasturcje czy bratki mogą kwitnąć od wiosny do jesieni pod domem. Z kolei kwiaty czarnego bzu, który również łatwo znaleźć, można smażyć w cieście naleśnikowym. Czasem aż trudno uwierzyć, gdy się ma już pewną wiedzę, że często przechodzimy obok tak wielu wspólnych i użytecznych roślin i ich nie wykorzystujemy.

– **A kwiaty z kwaciarni? Są dla pani w jakikolwiek sposób użyteczne?**

– Tak, ale nie od razu. Kwiaty z kwaciarni są spryskiwane, więc jeśli kupimy bratki w doniczce, to one powinny zostać najlepiej 2-3 tygodnie na dworze i dopiero wtedy możemy zacząć ich używać. Dla bezpieczeństwa lepiej poczekać.

– **Hoduje pani rośliny typowo ozdobne?**

– Preferuję takie ozdoby, które można potem zjeść (śmiech).

– **A czy jest jakaś roślina, na którą trzeba szczególnie uważać?**

– Według mnie, nie ma takiej rośliny. Wszystkie uznawane za jadalne, są jadalne w każdej postaci. Spotykamy w zielnikach czasem takie opisy, że niektóre zawierają saponiny. Ale tego naprawdę trzeba byłoby zjeść wiadro, żeby zaszkodziły.

– **Gdy przychodzą do pani goście, nie kręcą nosem, że to dziwne te potrawy?**

– Zawsze były pytania, ale raczej pozytywne. W mojej kuchni chodzi też o estetykę. Kwiaty na talerzu np. w połączeniu ze szpinakiem wyglądają przepięknie. Zapraszając gości, możemy ich takim daniem zachwycić

i zaskoczyć. Ładnie to wygląda, a na dodatek miło się je.

– **Ma pani swojego bloga ewape.blogspot.com. Powstał po to, by szerzyć wiedzę na temat alternatywnych sposobów odżywiania?**

– Gdy powstawał, nie myślałam wcale o kulinarnym blogu, nie miałam jakiejś przewodniej myśli i nie chciałam zaistnieć. Na początku był to po prostu mój notatnik zdjęciowy, wydawało mi się, że dość prywatny. Nie miałam świadomości, że każdy może tam zajrzeć. Zamieszczałam tam zdjęcia reportaże, bo muszę wspomnieć, że moją wielką pasją jest fotografia. Nie rozstaję się z aparatem. Rośliny i gotowanie oczywiście przewijały się w tych blogowych zdjęciach, no i ludzie zaczęli pytać: a czemu nie ma przepisów?! Postanowiłam więc spełnić życzenie. I tak się pojawił blog kulinarny.

– **Pani wiedza o roślinach jest olbrzymia, nie myśli pani o książce?**

– **Wiele osób mnie o to pyta, pojawiło się nawet zapytanie od wydawnictwa, ale wciąż się zastanawiam.**

– Na co dzień zajmuje się pani roślinami czy działa też w innej branży?

– Z zawodu, jak wspomniałam, jestem grafikiem komputerowym. Gotuję z zamiłowania. Robię warsztaty, pokazy. Czasem zapraszam gości na wydarzenia, kolacje. Informacje o tym zamieszczam w mediach społecznościowych.

– **Widziałam że zamieściła pani post na stronie warmińskich bosonogich. Czy pani też chodzi bez butów?**

– Nie, ale ja ich wszystkich znam i ogromnie szanuję. To są fajni ludzie, którzy starają się żyć zgodnie z naturą. Sama takich prób chodzenia boso nie podejmuję, nie czuję takiej potrzeby. Natura nie jest pomysłem na moje życie, ona po prostu jest treścią mojego życia.

– **Na pani blogu znalazłam coś brzmiącego bardzo egzotycznie „wegańska zupa rydzowa z skorzonką i fasolą mung”... Brzmi jak czarna magia.**

– Skorzonka to inaczej wężymord. Czarny korzeń, który po obraniu przypomina białe szparagi. Pochodzi z Europy Środkowej czyli jest nasze, a wszyscy o nim zapomnieli. (Nazwa wężymord pochodzi z czasów, gdy w medycynie ludowej używano tego warzywa jako antidotum na jad żmij – przyp. red.). A to jest mączne, słodkie, po prostu pyszne! W sklepach nie do dostania. Wiem, że na rynku w Olsztynie wiem że handlują tym tylko jedni rolnicy.

– **Trzeba się więc bacznie rozglądać.**

– Owszem, ale najlepiej posadzić samemu.

Ewape, specjalistka od kwiatów, wegańskiego jedzenia, autorka bloga: — Od kiedy pamiętam, ciągnęło mnie do roślin, choć oczywiście jako dziecko wielu rzeczy nie wiedziałam i nie było tak, że rzuciłam się na nie i zjadałam wszystko jak popadnie



TANIEC TOWARZYSKI - DLA JUNIORÓW, MŁODZIEŻY I SENIORÓW!



Taniec towarzyski to atrakcyjna forma aktywności fizycznej zawierająca elementy sztuki i sportu, którą uprawiają dzieci, młodzież i dorośli, a ostatnio coraz liczniej seniorzy. Tańczenie wymaga sprawności fizycznej, umiejętności technicznych, wrażliwości, a także umiejętności współpracy. Wszystkie te elementy są rozwijane i doskonalone podczas zajęć tanecznych, a efekty pracy można podziwiać na pokazach i turniejach tańca.



KLUB TAŃCA SPORTOWEGO FOCUS - SKUPIENI NA TAŃCU

W Klubie Tańca Sportowego FOCUS w Olsztynie taniec towarzyski uprawiają pary w wieku od 7 roku życia do 60+ włącznie. W zajęciach uczestniczą zarówno osoby początkujące, jak i takie, które uprawiają taniec rekreacyjnie lub chcą rozwijać swoją taneczną pasję na najwyższym poziomie zaawansowania. Pary z FOCUSA uczestniczą w licznych turniejach, w tym mistrzowskiej rangi wojewódzkiej, ogólnopolskiej, międzynarodowej i światowej, zdobywając liczne puchary i medale.

TANIEC W FOCUSIE TO STYL ŻYCIA

Oprócz zajęć tanecznych i ogólnorozwojowych, pokazów i turniejów tańca członkowie klubu spotykają się na imprezach integracyjnych dla dzieci i dorosłych, uczestniczą w wyjazdowych obozach tanecznych i pokazach tańca. Nasza społeczność tworzy niepowtarzalną, rodzinną atmosferę, w której każdy może poczuć się wyjątkowo.

SPOTKAJMY SIĘ W TAŃCU

Serdecznie zapraszamy na Międzynarodowy Festiwal Tańca organizowany przez Klub Tańca Sportowego FOCUS z Olsztyna, który odbędzie się w dn. 12-13.05.2018 w Hali OCSiR w Ostródzie. Na imprezie swoje umiejętności zaprezentują polskie i zagraniczne pary taneczne w kategoriach dziecięcych, młodzieżowych oraz seniorskich.



Agnieszka i Krzysztof Dąbkowscy
603 065 847, e-mail: k.dab@wp.pl
www.facebook.com/FOCUS-Olsztyn





EKOLOGICZNIE I TRADYCYJNIE

Posiadamy najwyższej jakości certyfikowaną żywność ekologiczną i tradycyjną od sprawdzonych dostawców.

Już od kwietnia rusza nowy sklep internetowy z dowozem pod wskazany adres

Kanta 1c, 10-691 Olsztyn | Pon-Pt. 8-19, Sobota 8-16
Tel. 609 656 377 | zdrowazywnoscezieleniak.pl



53180TBR-A



PAPUGA NAJLEPSZĄ RECEPTĄ NA UŚMIECH

Robinson Crusoe na swojej wyspie zaprzyjaźnił się z papugą... Nie ma co mu się dziwić, bo kontakt z tym pięknym ptakiem przetamuje lęk, pomaga wyrazić uczucia oraz relaksuje. Można się o tym przekonać zaglądając do Papugarni, która znajduje się przy ulicy Lubelskiej 29 C w Olsztynie.

Tel. 89 672 60 56 | www.papugarnia.info



445180TBR-A



WIZY ROSJA BIAŁORUŚ CHINY INDIE
Wycieczki szkolne i zakładowe
Tanie bilety lotnicze promowe i autokarowe
rezerwacje hotelowe na całym świecie

Biuro Podróży „Mazur-Tourist” Leszek Korejwo
10-442 Olsztyn, ul. Kołobrzeska 1
tel. (89) 522 14 99, kom 662165244
travel@mazur-tourist.com.pl



445180TBR-A

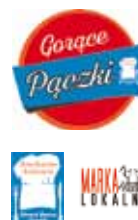


GORĄCE PĄCZKI Z ULICY GÓRNEJ

Smaczne, chrupiące i z czym tylko chcesz! Takie pączki, a właściwie paki, bo są naprawdę duże, robiły nasze babcie i mamy. Pączki są smaione przez panią Gabrielę, według receptury jej babci Józefy, mamy Janiny i cioci Marii. Takie pączki, to naprawdę ekstra Gorące Pączki z nadzieniem różnym, śliwkowym, wiśniowym, kajmakowym, czekoladowym, porzeczkowym, z serem i morelą. Uwielbiają je dzieci, kochają dorośli.

Wpadnij na „Gorące Pączki”, ul. Górna (obok mostu św. Jana), Olsztyn.

Już wkrótce Nowość, więcej dowiesz się na miejscu!



445180TBR-A



mamy czas dla Twojego piękna!

CENTRUM KOSMETOLOGII ESTETYCZNEJ LAVI

- medycyna estetyczna
- makijaż permanenty
- zabiegi na twarz i ciało
- zdobienie paznokci - 15 lat doświadczeń Mistrzyni Międzynarodowej!
- rzęsy, manicure, pedicure, masaże

FIRMA OFERUJE SZKOLENIA O SZEROKIM ZAKRESIE TEMATYCZNYM
[Facebook.com/GabinetLavi](https://www.facebook.com/GabinetLavi) | Olsztyn, ul. Wyszyńskiego 5G/29
tel. 693 117 828



445180TBR-A



EKSKLUZYWNE STUDIO PIELEGNACJI SAMOCHODÓW



CERAMIC PRO
POLAND

Autoryzowany partner
Ceramic Pro

Renowacja lakieru ♦ Ekskluzywne SPA ♦ Auto-detailing
Ceramiczne powłoki ochronne ♦ Renowacja i impregnacja
tapicerki skórzanej ♦ Wyciąganie wgnieceń bez lakierowania
Profesjonalne kosmetyki samochodowe

Bling Factory
ul. Lubelska 43i
10-410 Olsztyn

☎ 668 685 446
✉ studio@blingfactory.pl